

295360



Wies

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Eryk Zieliński

Rok III

Łódź, 10 listopada 1946 r.

Nr 44 (72)

Jan Aleksander Król

Z CZARNEJ ANGLII

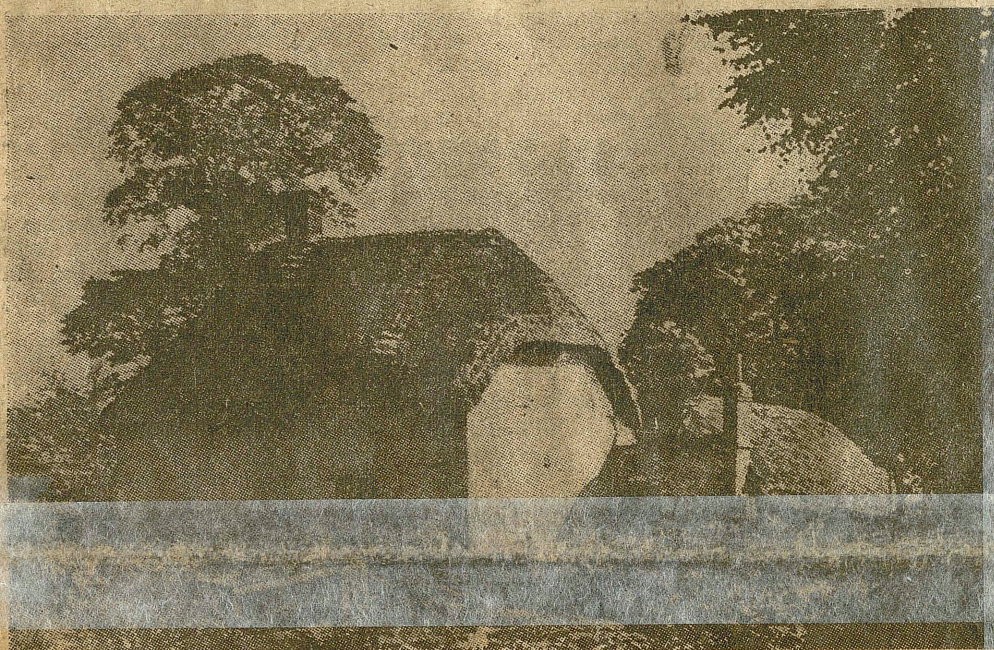
Listy z Anglii. (I)

(List otwarty do Stanisława Cieślaka *)

Drogi Przyjacielu!

Są dwie Anglie: czarna i zielona. Pierwsza w miastach, druga poza nimi. Od której zacząć? Kiedy Ty wróciłeś z Anglii, nie mówiłeś o zielonej. Nie pamiętam na-

chłopskich jest podstawowym warunkiem ich opłacalności. Wylizaleś całe listy tych rodzajów produkcji, które w kraju zamienione z surowców na artykuł, wielokrotnie pomnożą opłacalność i na rynkach za-



Tak wyglądała chata wiejska w Anglii w 12-tym stuleciu. Dziś jest to muzealny zabytek, specjalnie konserwowany dla „romantyzmu”.

wet, czy kto z nas o nią pytał. Stała na piśmie zarządu ZSCh sprawa pożyczki amerykańskiej dla Anglii. To był Twój „gościniec”. Dziwny na pierwszy rzut oka, niepokojący przy bliższym poznaniu. Stwierdziłeś, że Anglia przeznaczona w całości uzyskaną pożyczkę na unowocześnienie technicznych urządzeń swego przemysłu, w szczególności kopalń węgla. Górnictwo Wielkiej Brytanii a... Polska, a Samopomoc Chłopska... jakże tu związek? Dowodziłeś — za pięć lat doczekamy się na węglowym rynku europejskim groźnej konkurencji ze strony Anglii. Inwestycje, które teraz wkłada dadzą jej tańszą i szybszą eksploatację, tańszy i szybszy transport. Oto problem: „będzie coraz trudniejszy eksport naszego przemysłu, o ile nie nastąpi na olbrzymią skalę modernizacja urządzeń. Dlatego myśląc parę lat naprzód, musimy budować rynek wewnętrzny i budować eksport rolniczy... za lat pięć o naszych możliwościach importowych, o powodzeniu naszego handlu zagranicznego, o możliwości modernizacji przemysłu będzie decydował również eksport artykułów rolnych”.

Twoja teza była prosta. Rozwój rolnictwa zależy od rozwoju przemysłu. Ale w naszym rozwoju przemysłu trzeba wyróżnić dwa etapy. Pierwszy — uruchomienie tego co jest i jakie jest. Na zagraniczny eksport i na import najpotrzebniejszych surowców i maszyn przy starych urządzeniach, przy posiadanym potencjale przemysłowym szanse nasze są ograniczone i będą maleć. Dlatego w pierwszym okresie tym, co jest, trzeba nasycić rynek wewnętrzny, wzmocnić chłonność wsi, dobroć ją, aby w fazie kryzysu wymiany nasza produkcja rolnicza na eksport zapracowała na modernizację przemysłu krajowego, a ten skolej zapoczątkował drugą fazę przemysłowo-rolną już na poziomie nowoczesnej produkcji europejskiej.

Dlatego żądałeś takiego stosunku cen po między towarami rolnymi a przemysłowymi, aby rolnictwo stać było na inwestycje. Wskazywałeś, że specjalizacja gospodarstw

granicznych sięgną nie tylko najwyższych stawek, ale będą miały zapewniony bezkonkurencyjny zbył.

Ale czy dlatego mogłeś — wróciwszy z Anglii — zacząć od zielonej? Najżywcze sprawy wsi i w kraju i zagranicą rozstrzygają się na wyspach czarnych miast, fabryk i kopalni.

Kiedy po miesiącach mnie z kolei przychodzi pisać o Anglii, również nie zaczynam od zielonej, choć ją ujrzałem najpierw, z samolotu. U nas już jesień późna, pola zoran i szare, gdzie kępy drzew tam nagie konary i zamieć żółtych liści. A tutaj kraj łak soczyście zielonych, objętych żywopłotami i drzewami, wśród których nawet dęby, nawet topole i klony... zielone, wciąż jeszcze zielone.

W pismach naszej emigracji — kazania! „Era przemysłowa wzmocniła żądzę podboju przyrody... Psychika oracza, rzemieślnika twórcy, miłośnika opornego surowca czy niepodległej natury — zanika... Zamiast miłości — paragrafy ustaw — taka jest tendencja, wytwarzająca się w nowych formach współżycia społeczno-gospodarczego... Wiara w Rozum prowadzi do takiego pomieszania języków, jak w biblijnej wieży Babel”.

(Miesięcznik „Przed Świtem”)

„Albo świat zawróci z tego niebezpiecznego kierunku ślizgania się nad przepaścią moral insanity albo też społeczność narodów cywilizowanych przestanie istnieć”.

(„Dziennik Polski”)

Przyjacielu, Anglia ma w Londynie swój Hyde Park, w którym z ławek gloszą najrozmaitsi prorocy i sekcjarze, ten sam park służy również dla niekrepujących się par. Obłęd i szaleństwo, które nie przynoszą szkody, są tu tolerowane, ale też nikt nie bierze ich na serio.

Oceń sam, gdzie mam umieścić dialektykę myślenia emigracyjnego, czy bliżej Hyde Parku czy Charing Cross? Na Charing Cross mieści się dzielnica księgarń. Oglądam nowości, grube opusy: „Technika i Cywilizacja” Levis Mumforda (Technika i cywilizacja), oraz jego „The Culture of Cities”, „The Romantic Agony” Ma-

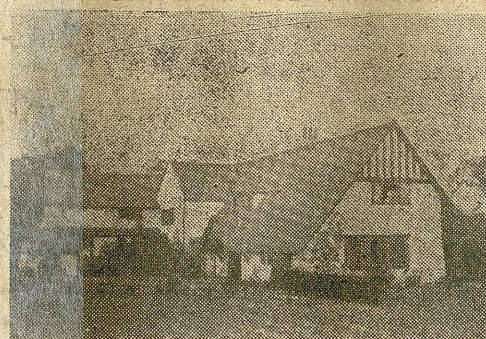
Przaz (Agonia romantyzmu), — „Introduction to Production control” Walkera, „Discovery of India” Neksu (Dyskusja o Indiach).

Pierwsze zdanie, jakie usłyszałem z ust Polaka, inteligenta z „naszej emigracji” było: „Złe prowadzicie rewolucję w kraju. W szczególności wy, pisarze, za mało walczycie z kołtuństwem i chamstwem”.

Pierwsze zdanie, jakie usłyszałem od dyplomaty angielskiego, było: „Ile produkujecie wagonów miesięcznie? A będziecie budować fabryki samochodów? Jaki jest stan waszej elektryfikacji?”.

*

Londyński port towarowy nad Tamizą ma 70 km długości. Połowę naszego przedwojennego wybrzeża morskiego. Ale, gdy u nas linia pieszczystych wydm, tu każdy metr jest miejscem przeładunku. Każdy metr oznacza kilka milionów funtów roznego obrotu handlowego. Przypływ mory wznosi wodę na Tamizie. Nad okrętami dzwierzy las pracujących dźwigów. Tysiące latocielnie wysięgniki rzucają w przestrzeń kawałki żelaza, kawałki szkła, kawałki... Czy to jest rewolucja? Czy to jest...? Właśnie, to jest rewolucja, która ma być, która ma być, która ma być... Tak pewnie bawia się dzieci we wszystkich portach świata, tak bawia się nawet u nas dzieci chłopskie nad stawami i kałużami, ale trudno nie dostrzec wielkiej różnicy. Czy to przypadek,



Oto zaś jak wyglądają dzisiejsze „ubogie chaty wiejskie”. Istotnie, są to najskromniejsze budynki, jakie można zobaczyć we współczesnej Anglii.

że na portrety, jaki w urzędach i miejscach publicznych można oglądać, Król Jerzy występuje w mundurze oficera marynarki? Czy tu o królewskość czy o angielskość idzie? Młody, typowy Anglik.



Horodwla pomidorów w Anglii.

Wzór nie do podziwiania, wzór do łatwego, powszechnego naśladowania. 25% dochodu narodowego przynosi Anglii eksport. 25% to 3 miliardy funtów, to ponad 3 biliony złotych polskich.

Anglia to oceany. Oceany od wieków. To dlatego kiedyś kraj najwcześniejszej rewolucji burżuazyjnej w Europie, najwcześniejszej rewolucji przemysłowej.

Trzymam w ręku strzęp gazety emigracyjnej, w której wypisano, że jeśli się nie odrodzi „psychiki oracza” i „rzemieślnika twórcy”, jeśli się nie uwolni miłości ludzi od „paragrafów”, nie zepchnie rozumu na podrzędne miejsce, to świat cywilizowany runie w przepaść”.

Na dole, pod mną, chłopcy poszukują materiałów na improwizowane okreciki. Rzucam im emigracyjną gazetę. Będzie zagłębiona na nowy statek.

To, co w tej gazecie spadło na brzeg, u nas w Polsce jest prawie rzeczywistością. Zniszczenia wojny cofnęły nas na pozycję materialnej egzystencji dwa razy gorszą, niż była przed wojną. A któż w Polsce lat przedwojennych mógł powiedzieć, że jest dobrze? Masy narodu na pewno nie. Odnowiła się z konieczności „psychika oracza”, jak „basoniów” na Podkarpaciu, którzy siebie tej wiosny do pług zaprzęgał, odnowiła się „psychika oracza”, w obliczu „gospodarki naturalnej” wobec całkowitej dekapitalizacji gospodarstw na tym terenie. Zbuntowani przeciw „paragrafom” szaleńcy ostrzeliwali chłopów przy dzieleniu ziemi, przy siewie, przy zakładaniu spółdzielni, a ich mocodawcy ujadają na dyktaturę rozumu, wiedzy i planu, ci „miłośnicy opornego surowca i niepodległej natury”. Czy z tego wynika, że miałem angielskiemu dyplomacie odpowiedzieć — „głupstwo — wagony kolejowe, samochody i elektryfikacja, nam idzie o człowieka, u was może wzorem narodowym jest oficer marynarki handlowej, u nas — oracz, rzemieślnik, u nas piękno miłości ludzi prostych w obliczu niepodległej natury; my ducha rzeźbimy, którego chamstwo i kołtuństwo uprawiających handel i przemysł zepsuło nam, odnarodowiło...?”.

*

Przyjacielu, zaplątałem się tutaj w to samo, co Ty. W liczby. Gigantyczne liczby. Chyba każdy Polak musi przeżyć to oszłomienie w Anglii. W ubiegłym roku wiosną rząd nasz wyrwał z budżetu kilkadziesiąt milionów na powiaty zniszczone ofensywą: znasz je, gdzie ludzie w jamach i bunkrach dwie zimy przemieszkali, gdzie na ziemi nie zostało nic ani z budynków, ani narzędzi, ani bydła, nic, krom zaminowanych pól. A tu, kiedy pięciopięćdzieś mla-

*) Stanisław Cieślak, wiceprezes Zarządu Głównego Związku Samopomocy Chłopskiej.

pialnia i pokój dla...
radio i kominek. Robotnik płaci 2 funty miesięcznie to znaczy dziesiątą część swego zarobku. W ciągu 60-ciu lat spłaci koszt domku. Gdyby u nas podjąć podobne przedsięwzięcie, musiałby zaistnieć dwa warunki: 1) aby robotnik zarabiał 10 razy więcej, 2) aby państwo stać było na rzućenie w ten długo-terminowy kredyt 500 milionów funtów, tzn. pół biliona złotych, tzn. 10 razy więcej, niż wynosi nasz budżet. A przecież mówię tylko o jednym z kilkudziesięciu ośrodków budownictwa mieszkalnego, jakie w Anglii się planuje i realizuje.

Byłem, w fabrykach samolotów. Widziałem „smoki” pasażerskie na 30 osób do lotów transoceanicznych na dalekie lądy, o szybkości 500 km na godz. Nazywają się Yorki, Tudory, Lancastery. Koszt takiego olbrzyma — 100.000 funtów. W jednej tylko fabryce wyprodukowali ich po wojnie już 300 sztuk, tzn. za sumę 30 milionów funtów, czyli znów prawie za sumę naszego budżetu państwowego. Co tydzień wychodzi gotowy jeden taki smok, aby zacząć krążyć nad 2/5 kuli ziemskiej w angielskim posiadaniu. Przed półtora wiekiem bez nich Anglia trzymała w rękę dalekie lądy. Dziś koszt szybkości i ilość tych Yorków i Tudorów jest widomym symbolem postępu w światowym tempie produkcji i obrotów handlowych, widomym symbolem zaawansowanego państwa epoki przemysłowej. A przecież w sytuacji angielskiej jeszcze to mało. Stany Zjednoczone przewyższyły ją w lotnictwie. Okrętów posiadają dziś tyle ile Anglia i inne państwa razem wzięte. Stąd podczas wojny nowe straty, jakie poniosła Anglia w terytoriach i bazach dla okrętów i samolotów na rzecz Stanów Zjednoczonych, stąd dalsze zagrożenie dla jej posiadłości, a to znaczy dla tych zawrotnych sum obrotów i zysków, a to znaczy dla dotychczasowego o nie krótkiej tradycji standardu życiowego Anglika. Oglądałem fabryki samochodów, skąd 150 sztuk wyrzuca się co tydzień na rynek. Fabryka jest w stanie produkować 300 na tydzień. Tempo zwolniło brak części materiałów, brak nawiązanych po wojnie wszystkich koniecznych umów importowych. Rocznie fabryka daje 7000 samochodów. Kosztują drogo — 500 funtów (pół miliona zł.).

Byłem w fabryce miar i wag. Przypomnij sobie wagę w naszym małym miasteczku. Gdyby nie przepis, kusilby się o jej zrobienie pokątny blacharz i ślusarz. Takie nic. Tu wypada zmienić krajowy pogląd. Są wagi od „elektronów” niemal i są od pociągów i okrętów. Mechanizm. Wiele serii a z każdej tyle sztuk, żeby opłacać rynek naszego miasteczka i w dalekich Indiach. 12 km kwadratowych zajmuje kilkadziesiąt hal tej fabryki. Małe miasto. W przekroju: przemysł hutniczy, drzewny, chemiczny, stolarnie, hydraulika, wyrób części metalowych, cięcie i drążenie blach różnej grubości, wiertarki, obrabiarki, lakiernictwo, kreslarstwo, sztab inżynierów, tysiące robotników — a to tylko idzie o... wagę.

*

Jak sobie dać radę z gigantomachią liczb angielskich, wyrażających ilości towarów, maszyn, urządzeń, kosztów, obrotów handlowych i zysków? Co sądzić z zestawienia tamtych i naszych liczb? Czy nie jest przyszłościową pracowitość naszego chłopca? Czy nie zdzierał się nasz nauczyciel? Nie zażędził na śmierć nasz doktor na prowincji? Czy setki tysięcy bezrobotnych nie mówiły o wielkim wysiłku tych, którzy pozostali w warsztatach pod nieustannym zagrożeniem wyrzucenia na bruk? A jakie summa summarum osiągnięcia, jaki majątek narodowy, jaki dochód społeczny, jakie zarobki, jaka stopa życiowa? Polscy żołnierze, którzy walczyli na Zachodzie, mówią przez zęby: „Trzy wieki spokoju. Czy w tym czasie zaznali Anglii wojny, okupacji, zaboru na wyspie?” To prawda, ale ona nie tłumaczy nawet w części tych liczb. Dopowiadają: „No, cóż, kolonie, oceany”. I to prawda. I to znaczy wiele, może nawet wszystko, ale w jakim wypadku? Kiedyś papież dzielił nieznaną bliżej kulę ziemską między Hiszpanię i Portugalie. Na dalekie lądy sięgnęła Francja i Holandia. Mieć a zachować i mnożyć zyski to różne zgola umiejętności. Wymknął się świat z rąk wielu państw, Anglia do dzisiaj trzyma w garści potężny jego kawał, choć coraz słabiej. Stany Zjednoczone do niedawna nie miały żadnych dalekich lądów, a przecież ostatnią poważną przewagę pozycji ekonomicznej Anglii nad Stanami Zjedno-

...ki królowej Wiktorii, ckenza. W końcu wieku XIX da zauważyć mała przewyżka n, Ameryki. Po tej wojnie Stany e mają 3 razy większą ilość spawu żelaza, półtora raza więtwa węgla, 4 razy większą elektroenergii i przeszło 10 raży większy dochód narodowy.

Wróćmy do angielskich liczb w porównaniu z naszymi. Wskazują one, w przeciwieństwie do Polski, na kraj bardzo zaawansowany w cywilizacji technicznej, na kraj o staletniej tradycji narodu przemysłowego. Tyle razy u nas bogactwo i potęgę Anglii przypisywało się jej parlamentarnemu ustrojowi, warto byłoby wrzecznie przypisać ją temu, z czego one naprawdę pochodzą: wyższej organizacji ekonomicznej opartej o powszechnie zmierzchanizowaną, fabryczną produkcję towarów i środków produkcji.

*

Liczy tylko do pewnych granic oznaczają ilość, powyżej wskazują na inną jakość. Dlatego kolosalny wymiar cyfr angielskich nie może być porównywany z niskim wskaźnikiem naszych na płaszczyźnie bezwzględnej, ilościowego zestawienia. Gdybyśmy tak postępowali, dla imponującej różnicy nie byłoby żadnego logicznego wyjaśnienia. Musielibyśmy uciec się do wiary w zdolność narodu angielskiego do tworzenia cudów. I tak się nierzadko sądziło u nas. Bywał to podziw, zamykający sobie zrozumienie przyczyn sukcesów tego, kto imponował.

Gdybyśmy mieli pracować tak, jak pracowaliśmy, nie zbliżyłby cyfr naszych o osiągnięć do cyfr angielskich. Trzeba pracować inaczej. Trzeba przejść do innej jakości, do innego systemu produkcji, a wówczas nasze wskaźniki na całym froncie pracy skoczą raptownie w górę. Ten inny system nie jest angielskim sekretem, choć niewątpliwie Anglia pierwsza była w Europie jego inicjatorką. Na ocean wyprowadził ją, jak wiele nowożytnych narodów, rok 1492, rok odkrycia Ameryki. Użyć tych szlaków musiały już jednak inaczej, niż używały ją przed tysiącletniemi Chinami, Egipcj, Grecją, Rzymem, a nawet w okresie wojen krzyżowych Wenecją. Wyjazd Anglii na oceany poprzedzili: Galileusz, Kepler i Kopernik. Inne spojrzenie na kulę ziemską, na świat, na przyrodę, na człowieka, na społeczeństwo, na cywilizację, na rozwój nauki, na rozwój przyrodniczych i ich praktyczne, techniczno-przemysłowe zastosowanie. Wartość tych lądów rosła i odsłaniała się proporcjonalnie do nowych narzędzi i metod czerpania z nich bogactw.

Jakże słusznie prof. Chałasiński zwraca uwagę na złożoną strukturę osobowości społecznej Józefa Conrada. Nie był on — oficer marynarki angielskiej na dalekich lądach — wierny tylko swoim akcjonariuszom, był również wierny okrętowi. A to nie to samo. Pierwsza wierność odnosi się do ustroju kapitalistycznego, druga do... cywilizacji technicznej. Warto pod tym względem porównać Dickensa z Conradem. Pierwszy w połowie XIX wieku, drugi u jego końca. Pierwszy, kiedy Anglia przoduje światu, drugi kiedy wskaźniki produkcyjne Anglii i Ameryki już się zrównują. Pierwszy, kiedy przemysł nie nabrał jeszcze rozpędu, a oświecała i wyprzedzała go wiara w demokrację mieszczańską, drugi, kiedy Conrada, zbiega z kapitalistycznej demokracji Europy, poprzedził Verlain'e a gonili Gogin, wszystkich zaś oczekiwał kontrast cywilizacji przemysłowej z cywilizacją społeczeństw pierwotnych.

Dickens nie jest draśnięty pazurem industrializmu, bo i skądże, za jego czasów, kiedy po drogach kursowały dyliżanse, a każdy trakt prowadził do obojętnej? W jego powieściach jest nastroj rewalucji burżuazyjnej w jej ostatnim etapie, jeśli za pierwszy przyjąć czasy „okrągłych głów” i radykalnego skrzydła „równościowców”. Cała ta tradycja z przed wieków zbliżenia mieszczaństwa z ludem odzwiera na kartach książek Dickens. W dzieciństwie rozczytywał się w powieściach historycznych. Był postępowcem, bo trzymał z gminem. Ale obraz świata jemu współczesnych modelował nie w przyszłość, modelował na wzorce przeszłości. Obieżyświat, którego spotyka pan Pickwick, to bracia Sowi-dralzów flandryjskich, co to na obiad jak dala tustości z kaparami, a sam pan Pickwick, wznowiony „okrągły łeb”, sięga co chwila filantropijnie po książeczkę czekową. Jakby w Dreuglowski obrazek obyczajowy, obrazek średniowiecznego kiermaszu wtłoczono, bohaterów rewolucji burżuazyjnej. Najwięcej szczęśliwego halasu wnosi tu ten, kto miał się na tym sojuszu najbardziej zawieść — lud. Dickens zawie-rzył liberalizmowi, historia odebrała wiarę w jego nadzieje. Inaczej było z Conradem. Industrializm przez następne pół wieku szeroko się rozprzestrzenił i wzrosł.

ten okres industrializmu, który zaoczydawał o współczesnej cywilizacji świata. I nie jest to paradoksem, że Dickens uwi-ajający się z panem Pickwickiem pod Londynem dalszy był od wyobrażenia sobie przyszłości Anglii, niż na okragach światagubiony kapitan statku, Conrad.

Drogi przyjacielu, kogo byś zalecił młodzieży wiejskiej? Dickens czy Conrada? Oczywiście, Conrada! Wydać mi się, jakbym słyszał Twoje argumenty. W dalekim, fantastycznym nieomal świecie, gdzie króluje przyroda bujniejsza i agresywniejsza, niż u nas na wsi, z czym zdecydowaliby się nasi wiejscy czytelnicy być solidarni? Z naturą czy z okrętem? Czy na tej scenie powtórzyłby: „Za wszystko Bogu dziękuję, sobie nie przypisuję” — czy też Conradowską dewizę: „Czyń lub gin” — Czy nie dostrzegliby, że te lekarstwa, te narzędzia rozmaite, przywiezione na okręcie, rozstrzygają tam o życiu, o lepszym, o europejskim życiu? Czy ten okręt u brzegów dalekich lądów nie otworzyłby im oczu na możliwość dalszych rynków zbytu? Przecież całą naszą ambicją na najbliższe lata jest, aby masy chłopskie poczuły się tak w powiecie, jak się czują chłopcy we wsi. Pomyśl — (to Twoje słowa) — od wsi do powiatu! Chłop, który potrafi objąć myślowo gospodarstwo powiatu i radzić nad nią, jak dotąd u siebie na gospodarstwie! Jakież tam wówczas elementy nie wejdą w grę? Na miejsce chaosu szachowni, plan wiązania w całość zbóż, hodowli, jarzyn, sadownictwa, przetwórci fabryk, cukrowni, cegielni, młynów, tartaków. Wyobraź sobie tego rozmiaru samorząd rolniczy. Dojrzyj związki branżowe, dla których ambicją i potrzeb państwa musiałoby spieszyć z nadbudową krajową, czynić umowy eksportowe na zagraniczne rynki. Dla mas chłopskich, patrzących z krawędzi powiatu, Conrad przestałby być powieściopisarzem, a stałby się zwyczajnym maklerem światowych rynków. I oto nam idzie, aby okręt Conrada u dalekich lądów młodzież chłopską wzięła na serio. Aby on przyciągał jej wyobraźnię, jak magnes, aby te odległości, przestały być dla niej fantastyczne. Nacelowana na nie realnie, wyobraź sobie, jak będzie organizować rolnictwo, jak wiazać się z przemysłem, jak według giełdy cen wybierać rynki zbytu, jak się na nie nastawiać i walczyć o ich zdobycie i utrzymanie?

*

Od stu pięćdziesięciu lat każde następne pokolenie Anglików porusza się w coraz bogatszym garniturze urządzeń technicznych, w coraz bardziej skomplikowanych fabrykach i zakładach pracy. Wystarczy się przyjrzeć architekturze miast, aby otworzyć sobie historię narastających etapów. To tylko niektórzy nasi naiwni ludowcy uważają, że chata nie zabija w nas człowieka, ale zabija go kamienica. Widok jakiegoś następcę miasta angielskie mówi o czymś zgola przeciwnym. Od budowlu z XI wieku posuwamy się do architektury o 2 stulecia późniejszej, potem o wiek, potem o pół, a wreszcie cały XIX wiek stoi przed nami jak na dłoni. Daty biegna najpierw co 30 lat, potem wyróżnić można każde następne 20-lecie, 10-cio i 5-cio lecie „Czyń albo zgini” oto dewiza. Przez te domy płynnie wartki nurt historii choć wolniejszy od amerykańskich rekordów przebudowywania się. Czy w galerii tych domów wyraża się ubóstwo duchowe człowieka, czy przeciwnie — rosnące bogactwo duchowe, jego energia coraz to lepiej się organizująca? Mam w pamięci drugi kontrargument: standaryzacja, ten owoc techniki przemysłowej? Oczywiście! Tylko dlaczego to standard został przypisany miastom i industrializacji? Cóż z tego, że oglądam tu całe ulice, całe dzielnice domów tego samego modelu. A na wsi nie ma standardu? Chałupa do chałupy nie podobna? Co innego wewnątrz? A w Galicji do lat 80-tych standard drewnianych pługów? A standard wiedzy wyłącznie religijnej? A jeśli w r. 1938 mieliśmy na 20 milionów chłopów wszytkiego 10 tysięcy po maturze to jakież to był standard? W tym rzecz. Od standardów nie da się uciec społeczeństwu, ale jest obojętne wyzwalające się z gorszych standardów na rzecz lepszych.

Kiedy zwiedzałem domki dla robotników, byłem szczerze zachwycony: niechby nam pisarzom takie domki sprezentowano! Ciekawił mnie każdy szczegół, rozmarzałem się przez długie minuty w każdym pokoju, ale urzędnicy angielscy, którzy już nie jedną wycieczkę obwołali po tych domkach, jeszcze w pół godziny po naszym zejściu do samochodów, latali z piętka na parter, gmerali w kuchni i dysputowali zawzięcie.

Przyjacielu, wiesz, jakich mam opozycjonistów. Oni mówią o kulcie rodziny chłopskiej, ale jak jest w chałupie, tej instytucji rodziny? Na jakim ona planie? Tu w Anglii na pierwszym. Tylko bez cudów. To znaczy, że Bóg się rodzi nie byle gdzie. Bóg się rodzi tam, gdzie łazienka i fotele. To

...o sta...
chłopskie — piętrów. Idea wygody i komfortu rodzinnego to nie wyraz gnuśności, to w Anglii motor postępu technicznego, wydajniejszej produkcji. I nie pole, nie ziemia będzie nas chłopów mobilizować. W służbie ziemi my wegetujemy. To dom, to szczęście rodziny może wymusić na nas cud na polu!

Na wielkiej wystawie „Co Anglia może zrobić”, 30 tys. ludzi dziennie. Kolejki są tak długie, że na wystawę wchodzi się z reguły po paru godzinach czekania. Anglii oglądają towary, które idą na eksport. Wielka Brytania musi podwoić eksport, jeżeli chce wywozić taką ilość surowca i żywności jak przed wojną. Chce — znaczy to — musi. O tym przekonywują tłumy zwiedzających. Co innego poczekać, a co innego nie mieć wcale. Anglii oglądają na wystawie upragnione rzeczy codziennej potrzeby, z którymi muszą się teraz rozstać, aby je znów dopiero w przyszłości osiągnąć. Cały naród uczestniczy w walce o rynki zbytu. Dlaczego? Bo jest długoletnim wychowankiem niezliczonej ilości instytucji industrializmu. Fabryki, domy handlowe, banki, sklepy, kolejki podziemne, wszystkie środki lokomocji, asfaltowe szosy, przecinające wieś to są te instytucje cywilizacji technicznej. Każdy Anglik pozostaje pod bezpośrednim wpływem kilkudziesięciu z nich, dlatego nie chce spaść ze standardu życiowego, jaki naród już osiągnął. Dlatego biegnie zobaczyć co angielski przemysł wyprodukował, mimo, iż wie, że przecież nie dla niego, choć on sam w tej produkcji zdawał wysiłek.

Drogi Przyjacielu, przypominasz sobie po 20-tym roku „Piasta” — politykę „drogiego chleba”? Politykę zachłanności za możnego włościństwa. Chciało ono zniesienia cel przywozowych dla tańszych fabrykatów zagranicznych. Co w skutkach unicestwiłoby nasz przemysł i postawiło przed widmem głodu masy wiejskie, dla których tani chleb nie mniej jest ważny, jak dla robotnika.

W tym porównaniu zawiera się odpowiedź na dręczące pytanie: dlaczego jest taka straszliwa dysproporcja pomiędzy naszym majątkiem narodowym a angielskim, pomiędzy naszym dochodem społecznym i naszą stopą życiową a w Anglii?

My byliśmy do wojny w swej narodowej postawie wciąż nie związani z cywilizacją techniczną. Dramat chłopski ostatnich lat między wojennych szczególnie nabierał ostrości. Historia i warunki naszego bytowania tłumaczy naszą obojętność, niezrozumienie a nawet obronę przed industrializmem, a równocześnie każdy akt choćby tylko obojętności był tragicznie wymierzonym ciosem przeciwko nam samym, więcej, był wymierzony przeciwko narodowi, któregośmy nie nauczyli kochać i bronić własnym życiem na polach bitew, a nie wiedzieliśmy, jak budować, jak umacniać jego suwerenność w czasach pokoju. Rozpiętość przytoczonych liczb, ona zagraża suwerenności. A do zmniejszenia tej rozpiętości niema innej drogi, jak ta przed którą wzdrygał się Niecko, a która nie budzi w żadnym Angliku ani cienia wahania, ani cienia wątpliwości.

*

Stany Zjednoczone prześcignęły Anglię w rozwoju ekonomicznym z dwóch głównych powodów: 1) Wstąpiły na drogę industrializacji o wiele później, nie były dlatego obciążone starą techniką, 2) przez długi okres cierpiały na brak rąk roboczych i wysokie ceny płac, był to dostateczny bodziec w rozwoju kapitalistycznym „do zastosowania bardziej skomplikowanych, doskonalszych maszyn”.

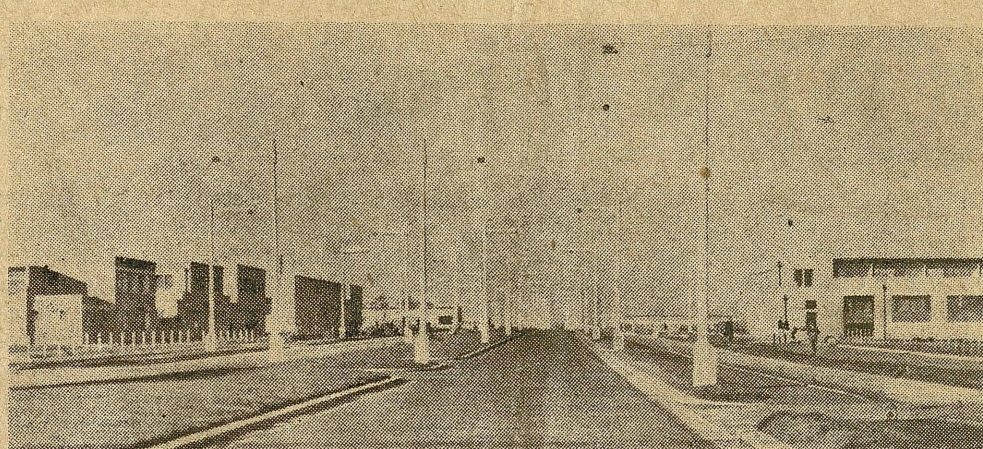
W tej chwili Anglia przechodzi nowy kryzys. Koszta wojny, jako nie najlepszy tym razem dla niej interesu — wynoszą około 8 miliardów funtów. Te straty odebrały jej możliwości konkutowania ze Stanami w eksporcie kapitałów. Jest konieczny nawrót do handlu samymi towarami, bez torowania sobie dla nich drogi inwestycjami kapitałowymi.

W okresie imperialnym rozbudowała Anglia aparat produkcyjny. Jest on teraz jej ostatnią szansą ale nie nadająca się w pełni wykorzystać. Pojemność gotowego aparatu jest większa od ilości możliwych rąk roboczych. Tak olbrzymi aparat, a w wielu dziedzinach bardzo przestarzały, (kopalnie, fabryki samochodów) nie może być unowocześniony, tzn. przystosowany do mniejszego rynku robotniczego z braku kapitałów inwestycyjnych. Dlatego wiele z cyfr, które mi wyliczano, nie będą osiągnięte. We wszystkich fabrykach niedostatek pracowników. W przemyśle węglowym brak 100.000 górników. Ujawnia się społecznomoralna sprzeczność pomiędzy wiernością Anglika dla cywilizacji przemysłowej, a wiernością do nawyków kapitalistycznych. Pierwsza każe produkować, druga każe wybierać pracę, targować się, nie spieszyć. Ministerstwa i wielkie przedsiębiorstwa ściągają Anglika reklamami. trafiają do

jego zmysłu interesu. Ale właśnie te reklamy są świadectwem faktycznego stanu nazbyt niskich ofert, aby sam business mógł zmobilizować do pracy, do wysiłku w krytycznym niewątpliwie dla Anglii momencie.

Zróbmy, Drogi Przyjacielu, porównawczy bilans. U nas dziedziczymy stan nadmiaru rąk roboczych, ale nie dziedziczymy ustroju kapitalistycznego. Czy będą zatem obowiązki prawa zachowania postępu technicznego? Nie, bo wprawdzie i w ustroju kapitalistycznym wszyscy mogli być zainteresowani postępowaniem technicznym, ale kapitał nie był zainteresowany losem wszystkich. Postęp dokonywał się w granicach interesów garści przedsiębiorców. Nasze zaś reformy wyznaczają planową, społeczną gospodarkę narodową. Granica interesów rozszerzyła się na cały naród. Plan gospodarczy wspiera się na reformach, które unicestwiają możliwość skupienia kapitału w prywatnych rękach do takiej wysokości, jaka zagrażałaby organizowaniu życia gospodarczego w sprzeczności z potrzebami mas narodu, jaka zagrażałaby równomiernemu rozłożeniu dochodu społecznego. Jest nowa w naszej historii sytuacja. Da się ją określić tak: teraz każdy obywatel jest bezpośrednio zainteresowany w powiększeniu majątku narodowego.

Rzeczą najbardziej wymagającą popularyzowania staje się wiedza o ekonomii narodu. Najgrubsze zagadnienia gospodar-



Coventry, drugorzędne miasto angielskie, częściowo zniszczone wskutek bombardowania, będzie odbudowane za sumę równą budżetowi państwa polskiego. Tak wyglądają peryferia — nawet nie przedmieście, a droga dojazdowa, wiodąca ze wsi, — a więc część miasta stosunkowo zaniedbana.

cze: eksport, import, hierarchia w produkcji przemysłowej, drogi rolnictwa, osiągnięcia spółdzielczości, powinny być tak trwale ułożone w świadomości jak elementarz. Wiem że byś mi w tym miejscu przerwał. Bo zapominam o różnicy: w Anglii od stu lat wszyscy myślą kategoriami cywilizacji przemysłowej, my stajemy dopiero na jej progu. Jak rozentuzjasmować młodzież wiejską do informacji takiej np.: Na Ziemiach Odzyskanych w ciągu planu

trzyletniego osiągniemy 70 % nawozów sztucznych. Co to znaczy? Znaczy, że w stosunku do posiadanego okręgu Chorzowskiego (30 %) przybędzie nam nowych 70 %. Czy to jest tylko wiadomość, czy hasło do mobilizacji planowania rolniczego o nowych perspektywach. Czy to jest tylko wiadomość, że pod Szczecinem uruchamiamy fabrykę benzyny syntetycznej, która przy przeróbce 3 milionów ton węgla rocznie (a wydobywamy w tym roku 46

milionów ton) da 600 tysięcy ton benzyny, co pokryje z nadwyżką nasze zapotrzebowania. Czy ta wiadomość nie pozostaje w związku z życiem w spółdzielczości wiejskiej?

Widzisz, sam się zapalas i z przeczenia przechodzisz do... propagandy postępu technicznego. Oczywiście to jest nasz największy problem. W ustroju kapitalistycznym niepostrzeżenie prywatne kapitały włączały społeczeństwo w obrót industrializacji niezależnie od jego zgody czy nie. Wstawało ono nieświadomie. Przed nami staje dziś obowiązek świadomego wtargnięcia w cywilizację techniczną. Wtargnąć musi cały naród. Bo tylko w tym postępie jedyna szansa naszego dobrobytu i naszej suwerenności.

Jest więc tak, że nie możemy czekać na wpływ samego działania procesów gospodarczych, musimy nowym wychowaniem do nich zbliżyć. A wiadomości, które podałeś tytułem przykładu, jeśli dojdą do terenu, rozgrzane zapalem, nie bój się, będzie odzew nie uczniów, ale działaczy, którzy w perspektywie naszych generalnych możliwości gospodarczych podejmą nowe prace lokalne, i rozwiną się takie formy samorządu gospodarczego, jakich stara tradycja nie przewidywała. Nie separujące się i prowincjonalnie zamykające, przeciwnie, będą się włączać w procesy ogólnokrajowe, będą dynamizować centralną odbudowę aparatu produkcyjnego. Przecież Ty to robisz!

Jan Aleksander Król.

Stanisław Pięta

PARTYZANT I DZIEWCZYNA *)

CZEŚĆ V.

I.

Niemcy utrzymali się na Sanie pod Sandomierzem — i front, który gwałcił się, łamał, jak rzeka płynąca co dnia, nagle runął. Przyszły nad Wisłę junkrowi pułki świeże i bitwa w huku, w tętnie wstała krwawa od ognia.

Sędziów żył z godziną w wolności, lecz wieczór naraz runęły nań pociski, jakby z tysiąca dział bliskich. Pożary poniosły się — płacz, jęk bit. Luna, jak maza, pełza. Liście, kwiaty, owoce wiodły w dymie śliskim.

Rosjan było nie wielu, cołnili się zaraz w lasy — i oto Niemcy nazajutrz wracali znów z ranami. Szła piechota, jechały czołgi, we wsi jak psie pasy wily się zrudziły drogi, szkielety domów raną zdawały się być oczom. Tu człowiek, tam pies spoczywał z rozdartym brzuchem i muchy jedzą czerniałe mięso. Przed kościołem leżała wciąż dziewczyna jeszcze żywa. Omijały ją konie Niemców, krwi ślady z łękiem wężac.

II.

Front przesunął się pięć kilometrów w głąb czarnych lasów. Nacichło — i naród mógł policzyć swoich zabitych i rannych. Zginął Stach Kania, Kozłoba, Piotr Wołasów. Dziadkowi Cibie urwało dłoń, zraniło twarz.

III.

W ów wieczór zginęła i matka Marysi, Dorota stara. Był to pierwszy sierpnia, pomrok niebieski, cudny. Marysia kryła się, bo pociski biegnące z łoskotem czerwone. Wybuch raz po raz na skraju wsi dudnił. Matka spojrzała w niebo, lecz zdjęło ją przerażenie i poczęła biec, opędzając się w grozie rękami. Leciła, leciła i od kuli upadła na ziemię. Ach, zadrzeża pod jej rozdzielającymi krzykami.

Gdy przyszedł ku niej, zerwawszy się z ziemi — żyła jeszcze i majaczyła o synu, co w Anglii walczył pono. Jednak jej oczy spęzły zastygły szklisto na wietrze, tak jakby wciąż dziwiły się podniebnym, straszonym lotom.

IV.

Na trzeci dzień Marysia i ojciec załadowali na wóz trumnę i wśród słońca powlekli się przed siebie. Nikt nie szedł za Zmarłą, tedy i wiatr smutnie się zalił i monotonna muzyka ulatywał po niebie. Wykopali grób i na spoczynek złożyli ciało. Potem zaś w ciszy jeli trumnę przysypywać piaskiem. Pracowali tak ofiarnie może z godzinę całą. Wróży, czując trupa, kołowały nad nimi z wrzaskiem.

V.

Cztery dni trwała bitwa w lasach, lecz naraz znów czołgi rosyjskie wjechały na pola sędziowskie, z nimi gromadka wojska szara. I teraz bój wybuchł nad rzeczką, gdzie topole rosły, a tor kolejowy skręcał na zachód. Już w nocy część wsi z dworem zdobyli Rosjanie. Jednak Niemcy utrzymali wzgórze i trochę domów przy nim. Nie uległ ten stan dwa dni zmianie.

VI.

Dom Kowalskich i rzeczka były w rosyjskich rękach. Posypał się na nie ogień piekielny dział wszelkiego kalibru. Z jabłoni, śliw niskich zostały tylko widma w dali. Łan lucerny, który rósł obok, poryty był, jak po ziemi trzęsieniu. Niemcy szli do ataku. Kwik, rżenie koni słychać było. Czołgi łbami ciężkimi wychodziły, tłamsząc płacz ludzki i jęczenie. W świetle księżyca bój wyglądał tak upiornie. Zdawało się, że pola płaczą, las — nie ludzie. Gwiazdy spadały, urągając tylko wojnie. Trawy, kwiaty, liście zdołały wszędzie zrudzieć.

VII.

Domostwo Marysi stało jeszcze bez ciosu. Wioska wyludniła się, ludzie w lasy uszli. W piwnicy ciemnej Marysia leżała bosa, nasłuchując grzmotu strzałów w wilgotnej głuszy. Ojciec jej wciąż jeszcze chodził po dworze. Nawet głowy nie schylał, choć świstały kule. Lis Bartek też na obejściu o każdej porze coś robił — niósł wodę, poprawiał pszczołom ule. Niekiedy, gdy nacichało, było tak dziwnie. Żołnierze rosyjscy grali na harmonii, gruszki jedli, zartowali z siebie, śmiejąc się silnie. Kot zbiegł nagle w pawim oku z grządek pietruszki.

VIII.

Piątego sierpnia Niemcy przypuścili atak najcięższy z wzgórze. Kilkanaście minut były działa i naraz w wioskę runęła piechota. Zmierzch był dopiero i światło jeszcze się wilo...

Już pierwsze strzały były celne, padły w stajnię, tuż obok, gdzie trwała, ledwie dysząc, Marysia. Kowalski, widząc pożar, wstał, płacząc błagalnie i wybiegł. W płomieniach chwiała się jego łysa głowa. Chciał ratować sprzęty, wlatywał w ogień... Nie powrócił. Ściany i dach runęły z trzaskiem — i tak szybko otwarło się pole w noc wrogie. Wiesz, rzeczka płonęła. Ku nim szły cienie płaskie.

IX.

Marysia krzyknęła i za ojcem skoczyła ku stajni. Wybuch już w pierwszej chwili pocisku na ścieżkę ją rzucił. Ziemia ją w lot okryła i przed śmiercią uratowała, jak kołyską. Widziała w mroku niebo nad sobą czerwone, ludzi mówiących. Nie wiedziała, co się dzieje z nią jednak. Sanitariusze wzięli zemdlone ciało jej i ponieśli je przez dymu knieje...

EPILOG.

I.

Słońce świeciło czyste i gałąz jabłoni zaglądała przez okno. Marysia w tę chwilę uniosła wzrok i nie słysząc wybuchów broni, powoli przypomniła sobie dni zawiłe... W oknie stała sanitariuszka i kiwała ręką żołnierzom, co wsią spaloną jechali. Kudłate konie rżały, chmurka przeszła biała. Gęsi płynęły po strumieniu w siwej dali.

II.

— Dziecko!... — szepnęła Marysia. Sanitariuszka w tej chwili klasnęła w dłoń i śmiejąc się jeszcze, przybiegła, kolebkę przysunęła do łóżka. Spało tam dziecko — u poduszki wzdychał świerszczyk. Czując lzy, ściśnięcie serca nagle, Marysia słuchała jak nie o sobie opowiadania. Mówiono jej, że uszła śmierci, że bój za Wisłą już jest. Ona nie mogła strzymać w gardle łkania...

III.

— Cóż — rodzice moi nie żyją, dom spalony — ja sama na świecie! — zapłakała gwałtownie. — Kto wychowa tę dziecinę? U szyb zasłony sanitariuszka uchyliła wtem i słowy łamanymi wzywała kogoś blisko na polu. — A to przecież wasz mąż jest tutaj!... Co wy chcecie? Marysia nie słyszała już słów w ostrym bólu, krzyknęła, straciła pamięć nagle o świecie...

IV.

Gdy się ocknęła, Jaś stał, patrząc w nią uważnie. Na twarzy chudej, pełnej bruzd znać było mękę przeżyta. Serce zabiło w niej lekko, raźnie. Szepcząc o dziecku, uniosła ku niemu rękę...

KONIEC.

*) Patrz początek: „Wiś” Nr 41 (69), 42 (70), 43 (71)

Józef Pogan

Inspekcja

(Legenda o reformie rolnej-III)

Gdy Pon Bóg wydał dekret o reformie rolnej, magnaci i ich obrońcy zaczęli straszyć narzykać i lamyntować, że to wielko niesprawiedliwość na ziemi się stanie. Więc zjeżdżali się razem, radzili, a chłopów bałamucili różnymi plotkami. I niektórzy chłopie naprowdę baranieli. — Juźci, może to i niesprawiedliwość — dumali — bo któż to widział, żeby tak nieprawie krzywdzić właścicieli? Juźci, juźci... Teroz panom odbieró, a późni może i nom i Bóg wie co z tego może być? Nawet i księzo to potębiajo...

Narzykania magnatów usłyszał Pon Bóg. Znowu zawołał świętygo Izzydora i godo mu: — Słyszys jaki na ziemi rwetes? Panowie strasnie krzyco, że im sie krzywdza dzieje. Słysz głosy, że chłopie mają doś ziemi, ino sie nie umio tak dobrze gospodarzyć jak panowie i nie wycyrpujo tyła z ziemi, co oni. Idź no jescze roz na ziemie i zbadoj, co to ci chłopie mają? Byleś już roz we dworze, zbadołes sprawe między dworym i służbą, a teroz zbados między dworami i rolnikami. Obydź bądź ktero okolicę. Ino w mię, bo cas uplywo.

Święty Izzydor pośpieszył na ziemie. Trafili w som roz na dwór hrabiego Potockiego w Krzeszowicach. Obeźroł pałac, wszystkie dobra w tym dworze i posed dali ku rzyce Rudawie. Tam se wsioł do łódki, plynie se ku Wiśle i oglądo sie wokoło.

— Piękno, urodzajno nizina jakoby rajski ogród — dziwi sie święty. — Tu cheba ludziom dobrze. Tu kto by narzykoł na biedę, to by już śmiertelny miol grzych.

Zatrzymał łódkę i wyloz na brzyg, by sie lepi tymu przypatrzeć. Wyseł na wzgórek i zdebiol — — — Bo w ty nizinie, jak ino okiem sięgnąć — — — dwory... same dwory... Osady chłopskie po prostu ginyły w mroku ozłozystyk lip w około pańskich pałaców.

Święty zacon licyć: Krzeszowice, Siedlec, Pisary, Rudawa, Zabierzów, Balice, Kobylany, Wieckowice, Karniowice, Bolechowice, Brzezice, Ujazd, Tomaszowice, Modlnica, Wierzchawie i inne. Wszystkie, wszystko pańskie...

Pomiędzy dworskimi obsarami, na pagórkach cy na ubocu wily sie wąskie pasymka chłopskich poletek. Niktore syrse, ale w większości — to kiesecki, ze ani tam wozym nie zawrócił, ani krowy na łańcuchu nie uwiązoł, ani bronami w poprzek nie zawlók. Ba, nawet pono pies jakby sie polozył w poprzek na takim poletku, to ogon miolby za miedzą sąsiada.

Święty zaroz sie domyslił, że tu ludzie muso dorobić na skromny żywot. Jedni w Krakowie we fabrykach, inni na kolei, ale nojwięcy to już ludziska na tyk syrokił pańskich polach sie mordowali. Za osiemdziesiąt, a nawet za pięćdziesiąt grosy dziennie wsiakoł chłopski pot w pańsko ziemie.

Święty ruszył naprzód przez te pańskie obsary. Przy szosie spotkoł ludzi z innyk, lihsyk okolic co śli do Krakowa. Boso biedoki lazo... na zgarbionym plecak dźwigajo ciężkie kosyki z borówkami... z ostatnią kworłą mlyka... z uchowanym kurcem... z kwiotkami... z mietłami... z cholną... Co kto może, dźwigo do miasta na jaki gros na sól... na zopolki... na podotek...

A wszyscy zadrośnie spoglądajo zamglonymi oczami na te wokoło pańskie dobra. Z piersi biedokow unoso sie głębokie westchnienia. Bo wokoło szosy po łakak, kaj ino spojrzeć, skubio trowe stada łaciatyk, upasionyk krów dworskik.

— Boże, Boże! tyła tu krów, a biedny cłek to nawet jedny ni mo na cym uchować...! — powtarzajo ludziska do siebie z ogromnym bólym w sercak.—Co tu krów... mlyka... masła... a biedok cęsto ino brodatę kozisko doi...

Święty pokinął se głową i posed ku Kobylanom. Lezie se pomału, dumo i ani sie nie spostrzyg, ze wseł na prywatno dworsko drogę. Dopiero głos dziedzicki zbudził go z ty zadumy.

— Halo! halo! tu nie publiczna droga! Tędy nie wolno chodźć! Wróćć natychmiast!

Psiśka zawarczał groźnie, więc święty wrócił sie i septo se som do siebie:

— Aha, toś ty ty, jędo, zastrzeliła swygo męża, artystę malarza za to, że kochał sie w śtuce, a fernali i robotników nie

com. Tam siostra dziedzica chodźi kole dworu. Obie ręce w jedwabnyk rękawicak ozłozyla, żeby jo ludzie po nik całowali. No i całowali jo wszyscy: starzy, młodzi, chłopie i baby, bo to przecie „jaśnie pani dziedzicka”.

Święty splunął pogardliwie na tako pańsko pyche i udoł sie w strone lasu. Tam użroł jakiegoś chudygo, obstrzępanego chłopca, co zbierol grzyby. Ale zaledwie poru znoloł, a tu leśnicy nadchodzi i posuła na nigo psy. Złapały go, skasały, okropnie, a leśnicy jescze poprawił mu lagę. Lezoł bez dusy pore godzin, dopiero go ludzie zobocyli, przyjechali wozym i zawieźli do dochtora.

Z Karniowic święty Izzydor posed znowu pod Kraków, obsed wszystkie dwory, wrócił sie i zased do Wierzchowia. Tam sie dopiero przekonol jacy to niktórzy panowie. Toli dziedzic tego dworu bił bez litości jakiegoś chłopca. Bił, na śmierć bił. Ludzie sie przyglądali, ale sie boli bronić, bo tyn dziedzic postrzelilby zaroz jakby sie kto do nigo przystawil.

Święty otrząsnął proch z nóg i pozeł urodzajno, podkrakowsko nizine. Posed przez Bębło ku Jerzmanowicom. Tam przy krakowskim gościńcu wseł na chwilkę do pamiątkowy kaplicy, kaj to król Jan Sobieski, słuchol Msy Święty, gdy ze swymi wojownicymi hufcami dążył na obrone Wiednia. W kaplicy święty pomodlił sie troche i posed do środka wsi, wyloz se na „Dębowa” Góre” i oglądo sie po okolicy.

Cudnie, prześlicnie w około. Od północy — zachodu podkrakowsko nizine zamykajo wioski: Bębło, Kawtory, Będkowice i Szklary. Tu już zaczynajo sie starcyste pagórki, gęsto najezone styrczymi skałami. Odtąd już w strone Olkusza nikaj ni ma ani jedynego dworu. Na tyk pagórzystyk i skalistyk ziemiak gospodarujo sami chłopie.

Seweryn Skulski

Gorzkie prawdy

Zaczeło się od tego, że Pogan rzekomo brudzi w swoje gniazdo, a Bienenek chciałby, aby naszego chłopca i wies przedstawiał w świetle, w jakim nie jest. Urodziłem się na wsi, żyłem na wsi do szesnastego roku życia, powędrowałem w świat, potem po 26 latach znów powróciłem na wieś i po przeszło ćwierć wieku jakie zmiany zastałem na mojej rodzinnej wsi?

Dawniej dla syna ojciec był ojcem, dziś nazywa się stary. Dawniej córka szła na zabawę czy tak zwaną muzykę tylko za pozwoleniem rodziców, dziś nie tylko na zabawę, ale co dni kilka wychodzi wieczorami, przychodzi o północy i później i o żadne zezwolenie rodziców nie pyta a gdyby ją matka zapytała, gdzie była, matkę skarcił. Dawniej dorosły mężczyzna, rozmawiając z kimś bez różnicy czy miał przed sobą podrostka czy starszego, gdy kurzył papierosa, wyrwał go z ust i nogami przydeptał. Dziś podrostek lat czternaście całkiem normalnie z postawą i miną dorosłego mężczyzny podchodzi do mnie 55 lat liczącego i chce przypalić, a ja nie wiem w takim razie co zrobić, samemu sobie dać po pysku czy smarkaczowi, ale widzę, że jeszcze starsi ode mnie dają mu przypalać a często i zakrećć. Dawniej wódkę pito w mojej wsi tylko przy nadzwyczajnych okazjach — dziś pije się, aby pić a pić nie wiedząc nawet co się pije. Szesnastoletni chłopiec idzie na muzykę z butelką w kieszeni, przez całe noce w domu go nie ma, ale ojciec to wcale nie interesuje co robi i gdzie chodzi.

Co więcej się zmieniło. Chusteczki dziewczętom zastąpiły berety i kapelusze. Kawalerzy noszą krawaty i kamasze. Zostawiłem na wsi biłto, zastałem bruk, Wiesz zostawiłem bez żadnej organizacji społecznej, zastałem straże ogniową i orkiestrę choć do dziś jak jednych tak i drugich prawie całymi i jedynym zajęciem jest urządzanie zabaw z wielką ilością bimbrow, bo inaczej na cel społeczny dochodu nie będzie.

Gdy wieś opuszczałem przed ćwierć wiekiem, było na wsi cztery gazety, te domy do których gazety przychodziły, stały się prawie świetlicami. Szczególnie w zimie wieczorami schodzili się do nich sąsiedzi a ktoś na głos czytał. Gdy się na wsi znalaz-

Święty przyglądo sie pilnie ich osadom i procy. Pod pagórkami i skałami widzi ozrzucone w nieładzie, niby kurniki — chatki chłopskie. W Jerzmanowicach, w Będkowicach, w Szklarach, w Raclawicach i Czubrowicach ludzie prawie na cworokak cołgają sie w pole. A jak pracujo tam ciężko, żeby nad nimi nawet ptok zaplałkoł. Tu chłopina wiezie w pole może dwie kupki gnoju. Wywijo batym nad wychudzonymi skąpskami, krzyczy na nie, a one roz po roz upodajo na kolana; tam znowu inny chłop zwozi tockami kupe kamieni co jo powódz z góry naniesta na zorane stajonko i zasypuje nimi na innym stajonku ogromny rów tyz powodzia wyrwany;

— Pięknie tu i uroco lo miescan i turystów — myśli se święty — ale lo chłopów zakleło dziura.

Święty Izzydor zloz z Dębowej Góry i posed w strone Olkusza. Tam już nie użrał takich gór ani skał, ale za to lity piosek. Witaradów, Osiek, Zedzman, Siniczno, Rabsztyn, Rodaki i wiele, wiele innyk wiosok — piochy, same piochy... A na tyk pioskak nikój ni ma dworu, ino same chłopskie osady. Tam dopiero nędza, ze pozol sie Boże! Chatki niziotkie, ze nawet mały człowiek musi sie schylać we drzwiak przy wejściu. Cienkie ściany chatki lo ochrony przed zimnym ogacołie igliwem.

Po piastystyk ugorak cy wśród jałowcowygo lasu skubio sceciniasto trawę ubabrane w gnoju krówska, a najczęściej pobekujo bezrasowe owce.

Święty przyglądo sie procy ludzki. Tu jakoś babina grabi pod sosynkami igliwie, tam zaś wycino chłop motyką wrzos na ściółkę. Kajtzi zaś po piastystym poletku drewniano brone ciągnie byceki. Dwuletni abo może nawet i starszy, ale jakbyś go, cłeku, chycił za ogon, to byś go o roz na plecy zarzućć.

tu „obraźnik” co nosił obrazy świętych i książki z kalendarzami, to zawsze coś sprze dał. Ubiegłego roku sprowadziłem cztery kalendarze Związku Samopomocy Chłopskiej, nie sprzedałem ani jednego. Oprócz księdza, nauczyciela i mnie, nikt gazety nie prenumeruje. Jest niby świetlica, zarząd gminy nadsyła kilka gazet, ale nikt ich nie czyta, bo w świetlicy pustki, w miejscowej restauracji, gdzie do zjedzenia nie ma nic a do wypicia zawsze — każdego wieczoru do późna w nocy gwaro i ludno.

Kłamałbym, gdybym napisał, że wcale gazet nie kupują. A jakże, kupują przy dniu targowym w Lipnie w poniedziałek i we czwartek. Kupi, rzuci na wóz pod nogi, lub zemnie i do kieszeni włoży, ale już w drodze do domu drze na papierosy.

Ja w oczach moich braci chłopów sąsiadów jestem nawet głupi bo opłacam „Wies”, „Chłopi”, „Chłopską Gospodarkę”, „Chłopską Drogę”, „Chłopską Prawdę”, „Przyjaźń”, „Życie i Wiedzę”, „Głos Pracy”, „Barykadę Wolności”, „Trybunę Wolności”, „Wolność”, „Poradnik Oświatowy”, „Tydzień”, „Żołnierz Polski” i „Głos Ludu”. Poza tym z Ameryki przychodzi mi „Gwiazda Polarna” i „Głos Ludowy”.

Do powyższego jeszcze muszę dodać „Nowe Epoki”, gdyż zapomniałem. Ponadto kupiłem sobie „Ziemie Piastów”, „Ziemie Jagiellonów”, piękne dzieło wydawnictwa Instytutu Zachodniego.

Ja jestem nic nadzwyczajnego, chłop jak i moi sąsiedzi, pracując codziennie na swoich piętnastu morgach, tylko że do tej „restauracji” wcale nie chodzę i mądrym się nie nazywam, tylko że moja potrzeba duchowa wymaga literatury i widzę to codziennie w życiu i w sprawach, że dlatego moi bracia w stosunkach ze sąsiadami, w radzeniu sobie w pracy, mowie, żalu i zabawie są biedni, bardzo biedni dlatego, że czwartej chociaż części tych pism nie mają, którą ja posiadam i wcale nie czytają.

Duński, szwedzki, amerykański „chłop” gdy wiezie obornik na pole siedzi na nim i gazetę czyta. On wie co mu daje dochód a co się nie opłaca. W mojej wsi moi sąsiedzi wszystko robią bez ołówka, bo tak robił ich ojciec, do kościoła idą z naloż-

— Nic dziwnego — myśli se święty — bo wiele razy to bydle musi o głodzie ciągnąć nakładowany wóz ze słomą na pasze sobie z podkrakowskich dworów. Cierpi tu nie ino człowiek, ale i bydle. Chłop orze nim i nuci w głębokim smutku gorzko, przysłowiowo piosynkę:

„Oj, liche to, liche, te piastyste kraje,
Korzec wsiejes, kope zbierzes,
Kopa korzec daje”.

Spod Olkusza święty Izzydor wrócił sie i posed w strone Ojcowa. Zażroł tam do Groty Łokietka, obsed tyz zomek i stamtąd posed na wschód. Przystanil przed pałacym w Smardzowicach, bo go ogromnie zdziwił numer dworu: „22 dwór Czar-toryskich”.

Święty spotkoł jakiegoś pańskiego pacholka i objawio mu swoje zdziwienie. A tamtyń odrzek dumnie: — Człowieku, to dopiero cząstka dworów Czar-toryskich”.

Święty westchnął głęboko i posed dali. Oglądo sie wokoło po urodzajny okolicy. Ziemia tako sama jak w podkrakowski nizinie. Lec na tyk ziemiak znowu... dwór przy dworze... Mało ktero wioska osieroco bez pana. Grębynice, Cianowice, Smardzowice, Czajowice, Januszowice, Minoga, Ściborzyce, Owczary i wiele, wiele innyk. Wsędy kaj nojlepie polacie ziemi, ozkracyli sie magnaci i cyrpio z ni skarby.

Spod Miechowa święty Izzydor udoł sie ku Wiśle. Wsiol se do łódki i popłynyl w kierunku Krakowa. Tam se jescze ożroł Wawel, kościół Panny Marii, Sukiennice, Floriańsko brame i posed do nieba.

Pon Bóg go sie zaroz pyto, co zbadoł na ziemi. Święty ozłozyl przed Nim narysowanoe mape okolicy i różne zdjecia fotograficzne z grubymi panami, z pobitymi chłopami, z bosą biedotą uginającą sie pod ciężorami kosyków i mietel na plecak... Z potrzaskanymi wozami na pagórzystyk polak... Z chudym bykiem ciągnącym drewniano brone po piosku...

Pon Bóg popogłolł wszystko, podumol se nad tym i wyrzek:

— Od dzisiejsygo dnia poprzednio wydany przeze mnie dekret o reformie rolnej wchodzi w ZYCIE.

nie oszukujcie, nie upijajcie, życie w zgodzie sąsiedzkiej, nie kłóćcie się i nie wyzywajcie i fałszywie nie przysiegajcie. Po nie-sporach spotyka się kum z kumem. Wdzielić się może miesiąc temu, ale w przy-witacze wołają — sto lat jakem was kumom-trze widział. Idą do restauracji a wieczorem każdy w swoją stronę wraca przy pomocy płotu a jak płotu zabraknie, jak nieboskie stworzenie na czworakach.

Gdy odnajdzie jakąś chorobę w koniu swoim, sprzedaje go, ale prawdę zatai, choć konia sprzedaje takiemu Polakowi i katolikowi jak i on. Różnym kłamstwom, bujdom i agitacji wstecznej nadstawiają uszu i dalej językami te prawdziwe „telegramy” noszą. Związek Samopomocy Chłopskiej, jakaś spółdzielnia, świetlica to próby skoł-chozowania naszej wsi — popierać nie trzeba. Jakiś przyklejony plakat w naszej wsi, czy to jakiejś organizacji politycznej, czy gospodarczo-kulturalnej, lub z chęcią zorganizowania gromady dla dobra gromady lub w celu zorganizowania młodzieży, taki plakat wisi tylko do zmroku. Jutro widzie go podartego w błocie.

Nie znaczy to, że moja wieś dzika. O nie, Młodzież i starst ubierają się przyzwoicie, Mówią sobie dzień dobry, nie uchylając czapki. Podajemy sobie ręce, dziś mamy elektrykę w domach a co kilka domów radio gada na głos. Ksiądz i nauczyciel mają wielkie poszanowanie. Zamożniejsi noszą się z „pańską” a powszechnie w tytule jesteśmy — proszę pana i panią. Słowem wyglądamy ładnie i gdyby ktoś dolara w kieszeni miał a cała wieś o tem wiedziała, może u nas bez obawy nocować.

Jedno nas gubi i jest kulą u nogi — jesteśmy już mądrzy i doskonali i dlatego tak biedni. Wiesz moja jak i wiele innyk tu wsi zakonserwowało się w tej niby „doskonaleści chłopskiej”.

Jestem chłopem a wszyscy inni winni mi część oddawać i szanować bom chłopem i więcej nam nic nie potrzeba. To właśnie u nas chłopów i w mojej wsi jest złem wielkim, którego się strzec należy.

Nie zawiązyjmy prawdy w bawelnę, o sobie, wsi i chłopach niech chłopie piszą prawdę, choć w oczy kole, ale sercu lżej i po rozum do głowy prędzej tu wieś przyjdzie.

Aniela Gut Stapińska

Z prawdziwego zdarzenia

ilustr. Stanisław Cieloch

Jan Bolesław Ożóg

Ścigany

We dworze państwa U. od wczesnego ranka rozpoczęło się gorączkowe przygotowanie do dzisiejszego a tak uroczystego dorocznego polowania. Pani U. wyciągnęła z kosza kunsztowną porcelanę, ustawiła kryształ w miejscu najbardziej widocznym, zmieniła firanki, wdziała najelegantszą toaletę francuską i żywo doprawiała mieszankę kawy upominając służbę żeby broń Boże nie przypaliła śmietanki.

Kilkakrotnie zwracała uwagę kelnerowi i przy tym nie szczędziła rad i wskazówek co do przyprawy bigosu. Bigos myśliwski to wyraz pańskości nie mówiąc o tradycji przestrzeganej od wieków przez dwory szlacheckie, trzeba więc dbać o jego oryginalność w doborze artykułów, a nade wszystko nie trzeba zapomnieć o trzech liściach bobkowych.

Jednocześnie pan U. konferował w sali myśliwskiej z leśnymi, gajowymi i gońcami, omawiając tereny na dzisiejszy dzień polowania, troszcząc się o najdrobniejszy szczegół, aby polowanie nabrało pańskiej świetności, zręczności i nader dobrej organizacji.

Po odprawie dworskiej myśliwskiej założył znak do odejścia, zostawiając na małej rozmowę starego Gajdera, którego we wsi obwołano królem polowania i wirtuozem w sztuce myśliwskiej z racji pewnego wyczynu, a mianowicie stary ten poczwłec idąc raz z dubeltówką na ramieniu — prawdopodobnie z kłusownictwa — zobaczył we wsi lisa wśród kur i wzywając ratunku gospodynię. Nie wiele myśląc wypalił z dubeltówki kładąc trupem lisa i wszystkie kury. Gospodyni przestraszyła się nie czyniąc jej żadnej przykrości w zagrożonej kondygnacji jej osoby. Od tego pamiętnego czynu stary Gajdera w sprawach myśliwskich miał pierwsze i ostatnie słowo. Wśród myśliwych był honorowany a p. U. nazywał go starym zacnym przyjaciele bez którego na polowanie nigdy nie wyruszył.

Dziś p. U. nie posiadał się z radości widząc Gajderę w dobrej myśliwskiej formie. — Polujemy jak zawsze — rzekł mrużąc porozumiewawczo prawym okiem.

— Ono ta jakosi będzie, coży nie? — dziarsko odrzekł Gajdera. — Pamiętajcie — zajmę stanowisko z prawej strony obok mnie. — Bocem o tym zawdy tak jako w pocierzu jest Jamen! — zapewnił Gajdera.

Tymczasem na dziedzińcu dworskim wjeżdżały dymiące parą i parszające ochotnie ogniste rumaki wioząc dostojnych gości z powiatu i okolic, wśród zaproszonych nie brakło najlepszych myśliwych, poczynając od starosty a skończywszy na starym Gajderze. Przyjechali również panowie z sąsiednich dworów. Doroczne wielkie polowanie.

Ruch, krzyk, nawoływania, myśliwski pośpiech i las.

Las okryty nieskalaną śnieżną bielą, w promieniach wschodzącego słońca walił w oczy blaskiem białych ogní, groził potęgą mrozu, a zwarte drzewa pancernym śnieżnym zamykały dojsie do jego wnętrza.

Powierzchnia leżącego śniegu na polanach była równa i niesłuchanie biała. Wokoło nie było śladu ludzkiego istnienia. Natura jak gdyby pragnęła samotności.

Myśliwi zaabsorbowani polowaniem nie zwracali uwagi na cud natury i majestatyczną, prawie że groźną ciszę zamartego lasu. Brocząc w śniegu na zboczach góry obstawili pozycje według przepisów myśliwskich, zapuścili psy do lasu, rozstali gońców z trąbami i rozpoczęli zabawę niemiłą dla mieszkańców leśnych.

P. U. znając tajemnice terenów, zajął najlepsze stanowisko przy wylocie obsadzonego

go kotła, obok nieodstępny towarzysz Gajdera.

— No cóż stary przyjacielu uda się polowanie? — spytał p. U. Gajderę, kontrolując starą odziedziczoną po przodkach dubeltówkę.

— Wto wie cy ono ta będzie tak jako wyście wcieli? — mruknął Gajdera.

— Dlaczego? — spytał zaniepokojony p. U.

— No bo tego rumu w tej kawie było mało, prawie tello kielo jest omasty we średe popielcowom. Ono ta na polowanie trza mieć w sobie krew ozgrzanom, to sie ta pote strzelo, coży nie! — mścił się Gajdera za ryzykowne skapstwo p. U.

— Ależ zapewniam was przyjacielu — starał się zło naprawić p. P. — jeśli uda się polowanie, to wieczorem bigos ale jaki bigos! no a w rumie to was chyba utopię.

— Trzaby to było rumu coży ja sie w nim utopił — nie skończył bo w tej chwili krąjąc raciami cudną biel śnieżną wypadł z lasu rozjuszony olbrzym. Dzik walił prosto na p. U.

— Jezus Mar'a — krzyknął — ratujcie Gajdera.



— Już jest ono po ratunku, leży han! — rzekł Gajdera, śmiejąc się radośnie do swojej dubeltówki — ona ta psiołkrew niesie!

P. U. patrzył na bryzgającego gorącą krwią dziką starając się przy tym ukryć swoje niesłuchane zdenerwowanie — ano przerażenie się trochę, zresztą nic w tym dziwnego, przecież to nie pora na dziki, a ten sobie ni z tego ni zowego wypadł na mnie!

— Żeć ta nic w tem zmyślnego ni mas, bo las lo dzików — mówił Gajdera — bo kieby tak wypod na wos w salonie to jaby sie som zacudował.

— Ano prawda, rację macie — mrucał zawstydzony p. U. a nagle spytał — słuchajcie jak myślicie, czy to honor zabić dziką?

— Prosem wos pięknie jak lo kogo, bo lo mnie to rzec zwykło, a lo wos honor wielkiżny by był, kiedy był świat by się cudował nieustający.

— Słuchajcie, postanowił szybko p. U., macie tu dwieście złotych i milczcie a nade wszystko swojej żonie, ani słowa! Po chwili dodał — kobiety wszystkie lubią plotki.

— Rozumie, rozumie! — mrucał Gajdera, chowając w zanadrze pieniądze i oglądając się w stronę wsi tęskliwie.

P. U. czymprędzej umówionym sygnałem zwołał myśliwych z pobliskich stanowisk oznajmując uroczyste bohaterskie i nader ciekawe uśmiercenie dziką, a tymczasem?

Tymczasem Gajdera pośpiesznym krokiem szedł drogą do karczmy, zapraszając wszystkich znajomych po drodze na mały poczęstunek.

Zdziwienie zaproszonych nie miało granic. Skąd ta hojność? Skąd te pieniądze? Przecież wszyscy wiedzieli, że Gajdera nigdy groszem nie tracił, to też ucztujący wyraźnie zaniepokojeni pytali o wyjaśnienie

tęgo tak bardzo milego zdarzenia. Gajdera milczał dość długo, aż wreszcie po rozgrzaniu kości i języka po ciachu każdemu opowiedział co zaszło, prosząc, aby broń Boże to zdarzenie nie doszło do wiadomości jego ślubnej małżonki.

— Wiecie, wiecie — mówił Gajdera — baby jak baby, tako stworzona na to coży pleść naopak, jo zabił dziką, a tako ci przekreśli i powie zek zabił maciore, a doresty pon pytali coży nika nikomu nie, to ono jacy ja wosm godom.

Zabawa wrzała w szybkim tempie, zaproszeni nie tracili czasu na marne, to też w niespełna kilka godzin pieniądze zostały ułożone w kieszeni karczmarza. Sytuacja ta chwilowo zaspęła myśliwskie czoło starego Gajdera, jednak myśl szczęśliwa na czas zaświtała do jego głowy, podniósł się szybko z ławy i pobiegł do dworu i tam prosił o natychmiastowe widzenie się z p. U. Pani U. przyjęła go wielce zdziwiona, a zarazem zaniepokojona jego przybyciem o tej porze.

— Co się stało — pytała?

— Je nic — rzekł niby obojętnie — trochę ono było źle!

— Boże wielki nieszczęście — szeptała pani ślaniając się na fotel — czy może ranny?

— E coży ino ze już nie żyje!

— O Boże wielki! krzyżała — mój mąż nie żyje!

— Ze cichoze pani takości noremno — mówił spokojnie Gajdera — zej to nie pon was nie żyje ba dzik, bo go trafił w te kie lecił na pana dziedzica.

P. U. odetchnęła z ulgą.

— Nie wiem jak wam mam podziękować?

— Zej ta dziękować nie trza, bo ta z tego ciek nie wyzyje!

— Ach pieniądze to głupstwo, zorientowała się pani i pobiegła szybko do szkatułek, a tymczasem Gajdera podziwiał jej uśmiechniętą twarz.

— Wicie, wicie żeć ona tu nie tako głupawo jako jo myślał, żeć ona se tu w każdej rzeczy da rade.

Pani U. radośnie wręczyła Gajderze 200 złotych, przy tym zapewniała go o dozgonnej wdzięczności i prosiła gorąco, że gdyby kiedykolwiek był w potrzebie, niech przyjdzie jak do rodzonej matki.

— Matko moja nie byłaby tako lekkomyślna coży za bodażco dawała — myślał cicho Gajdera chowając w to samo zanadrze pieniądze i pośpiesznie celował do drzwi.

Biesiadnicy osieroceni nagłym zniknięciem hojnego Gajdera, ujrawszy go, z krzykiem rzucili się na jego kosmatą pierś i żywo pytali o przyczynę nieobecności.

— Ze kis wosm, kazeście był tak długo? Zej wiecie luto mi sie zawiadziało dziedzica i myślę se rzeke będzie som stratny? niekeze i pani jego pocierpi kondek, a doresty trza było jeszcze co wypić, skoromy sie apotkali tak fajnie i młodo.

Około północy brocząc w śniegu szedł Gajdera do domu uśmiechając się jak małe dziecko do błyszczących iskier śnieżnych i głośno rozprawiał sam z sobą o szczęśliwie spędzonym dniu, jednocześnie zachwycał się urokiem nocy śnieżnej.

Ono wiecie ślicie jest na tem świecie, ej wiera, ślicie. Dzień mi bo był szczęśliwy i noc do znaku śliczo. Ono warce żyć na świecie, ej wiera warce! Baba mi też będzie rada! Baby chłopom w nocy zawdy rade!

Dobrnawszy do domu rażno zastukał w kłono nucąc głośno piosenkę.

Otworze mi otworz kochanecko moja Bo mi sie zwiadziała ta gebusia twoja.

Gajdera nie długo czekał na otwarcie drzwi. Kochanecka drzwi otworzyła tak energicznie, aż się Gajdera zachwiał i w tej chwili spadły na niego gęste razy starego mietlika a z ust „kochanecki” płynęła niczym nie dająca się zahamować lawina nieparlamentarnych, obelżywych słów.

— Ty złokrew dziadowsko, teleni nleszczio narobił we wsi. Nie dość że chłopom gorki na głowak pozbijał boś ik spili do imentu, toś jeszcze we dworze zwady pieńskich narobił. Dziedzic pado, ze to on zabił dziką, a dziedziczka sie przysięgło, ze to twoja sprawa. Ty psiołkrew jedna zaironana ka dudka coż wzięł od dziedziców co?

Tętnią poleczki, skaczą walce i drgają lby i nogi w puchach i tęczy grzyw czterdziestu koni...

Ten obraz chcą wam dobrać palce pod wieczór z wymienia harmonii.

Może pod koniec bitw narodów krzyż mi tu młode ramię poda? Pod koniec ten niejedno z was, gdy tyłu wśród dymów nas padnie, wspomni z zegarka cent i pas rzemieenny mój u klawiatury. Zaszumią groby, lasy, góry, uskokczy sobie i dolina i rybą strumyk stuknie na dnie,

E nie to, mił — cóż za błąd, żem niepodobny snom, a psu? „Dobranoc” podam z kłębka bzu; do „chłopców” niedaleko stąd, pod darnią rdza żre stal kaemu.

Czy nie ja to mówiłem: Hola. Gdzież proste poczucie humoru? Gestapo? Kiedy to cię boli, najlepiej idź do znachora.

Już nie mruż, biedny chłopcze, powiek i nie pij strachu w dzień i w noc — dobre lekarstwo: kula, nóż, Schmeisser i Colt — i „znachor” Kłoc, mój Boże, co za złoty człowiek w czaple z różowych lun i zórz...

Dziś jakże bliska włosny meta wesolo w krew się wszystką leje. Patrzcie, i oto ja, poeta idę z naganem przez miasteczka, ten sam na rynku się tam śmieje gębą umytą w tłustym kubie, — wiedzcież, rękawom dać dwa kolki, a byłby dziad na wróble.

Lecz przecież chyba nowe stada przemilczy druhów z pól i wsi, smakując gorzki ptasi rdest, który-m zostawił w wierszach moich na cynamonie z bomb i krwi, nie będą się już niepokoić, że idą bez gwiazdy ponad czołem.

Oto jak chleb łamany społem: broń, amunicja, wszystko jest.

Kwiecień, 1942

go hasnu. Ty złoduso jedna! Trza było pieniądze przynieść do domu belabyk słowa nie pisał, a tak posiedź se teraz do rana na polu, bes wiedziol jako trza lo baby mieć serce i pościwość. Ty bimbacu zatracy!



Po skończeniu oracji powitalnej wygłoszonej przez małżonkę, Gajdera usłyszał energiczne trzaśnięcie drzwiami przed norem po czym zapanowała śmiertelna cisza. Zmartwiony i złamany usiadł na progu i zaczął rozmyślać nad prawem Boskim i ludzkim.

— Takom przecie chyba Pan Bóg nie stworzył, boby się wstydzil za taki stwór, ono mo siele w kufie, a w rękach takie siebe jak wiat. He ciek, zmozes syćko co wces! Palcem podciągates za cingiel i dzik leży, a tako secko i na to rady nima. Światem sie urządzony, a syćko na naga

KAZIMIERZ BRANDYS

MIASTO NIEPOKONANE

OPOWIEŚĆ O WARSZAWIE GROZY I NADZIEI

„Niechaj mnie natchnie to miasto dokładną pamięcią... aby żadne kłopoty nie wyszły mi spod piera i nie umniejszały wielkości jego prawy”.

(Z przedmowy autora)

Jan Kobiela

Marchwiane refleksje

Bodźcem do uwag niżej wypowiedzianych była wystawa spółdzielczości ogrodniczej, którą Łódź może obecnie u siebie oglądać.

Przypuszczam, że wystawa ta to dobry moment do „wyżłódkowania” się nad problemem odżywiania się narodu.

Temat to za „płaski” według pięknotuchów, trudno mu „wkupić” się na łamy pism społeczno-literackich, leży on poniżej ich godności kulturowych rozważań. Stoją oni na stanowisku, że czas i miejsce lepiej poświęcić dyskusji nad bylejaką sztuką teatralną, żeby ją ratować i „rozrobić” dla niej grunt.

Obserwujemy dziś, że pisma ciągle się obstrzeliwiają nowymi koncepcjami literatury, sztuki, człowieka; mówi się dużo i łatwo o godności ludzkiej, o potrzebie szacunku dla jednostki, zapomina się jednak o tym, co warunkuje sam fakt zaistnienia tych pożądaných właściwości, mianowicie o konieczności zaspokojenia najpierwszych potrzeb ludzkich w ogóle a szczególnie w zakresie odżywiania.

Pisma przeciwnych obozów prowadzą zażarte boje o duszę ludzką, o świadomość dzisiejszego człowieka; w tych bojach znów się zapoznaje jednak jego substancję biologiczną. W walce o taki czy inny typ kultury często zapomina się o tym, co składa się na istnienie człowieka biologicznego, na którym możemy dopiero bazować człowieka kultury.

Pretensje moje mogą wydać się komuś śmieszne i nie na miejscu. No bo jakże! Cóż tu pisarze mają do roboty, niech ta sprawa zostanie w rękach fachowców. Publicyści w swoich górnych rozważaniach i pryncypiálních dyskusjach nie mogą przecież zejść na teren, gdzie tak zwany prosty człowiek pora się z pytaniem, na które mu trudno znaleźć odpowiedź.

„STWIERDZENIA BANALNE”

Zdaje się, że narodu do wysiłku, jego prężność produkcyjna, gospodarcza czy kulturalna zależna jest od tego, jak się on odżywia. Asceta czy zagłodzony na pewno nie będzie w stanie zdobyć się na wydajną pracę na dłuższy dystans.

Rozumny stosunek do odżywiania się to także wskaźnik cywilizacyjności. Śmiejemy się z punktualności w spożywaniu posiłków w Anglii czy Francji. Większe osiągnięcia tych narodów bodaj czy nie mają i w tym swego źródła. Boć przecież tu jest wyraźne liczenie się z mechaniką ludzkiego ciała. Ludzie z krajów zachodnio-europejskich dobrze wiedzą, że organizmowi ich potrzebne są tłuszcze, białko, węglowodany, fosfor, żelazo czy wapno; wiedzą, że bez witamin ich mięśnie i mózg będą mniej sprawnie funkcjonowały.

Kulturę tworzymy przez opanowywanie natury, a opanować naturę to właśnie liczyć się z jej prawami.

Czy mamy tradycję rozumnego gospodarowania tym naturalnym mechanizmem, którym jest ciało ludzkie, czy zaspokajamy jego potrzeby tak, by wydobyć z niego maksimum energii fizycznej i duchowej? Odpowiedź wypadnie oczywiście przecząco. Przeciwnie nasze społeczeństwo, charakteryzuje niechlujny stosunek do odżywiania się, ilość przekładamy nad jakość, brak nam jest rozumniejszego zróżnicowania pokarmów. A przecież to zagadnienie jest dzisiaj alarmujące. Grozi nam cherlactwo. Cały nasz naród przechodzi okres rekonwalescencji. Miliony niedożywionych z obozów, z partyzanckich, z robót przymusowych, toż to ludzie, którzy przez szereg lat żyli deficytowo, eksploatowali z konieczności własne organizmy do ostateczności. Mamy kolosalne braki, które nie prędko zostaną wyrównane, dlatego tym bardziej należy akcentować sprawę racjonalnego odżywiania społeczeństwa. Wyrównać niedobory organiczne narodu to pierwszy postulat, po zaspokojeniu którego można będzie już bez narażenia się na opadnięcie z sił i zniechęcenie podjąć te trudne zadania, które stoją przed narodem. Jest on dziś nadal w ciężkiej walce o utrzymanie się przy jakim takim standardzie życiowym. Wyprodukowanie odpowiedniej ilości i jakości artykułów konsumpcyjnych to dla kraju „być albo nie być”.

Dlatego takie fakty jak warszawska wystawa przemysłu spożywczego, czy łódzka

wystawa spółdzielczości ogrodniczej byłyby mali, mówili, że „krwi przysparza”, no a te wspaniałe „oberlandzkie”, czy „piękna z Boskoop”, bądź żółciśkie „pepiny londyńskie” czy „Janathany”, dla kogo to? (Mój widz jest robotnikiem lub gospodarzem przybyłym do Łodzi z wycieczką wiejską, bądź nauczycielem). Któż to może jeść? Entuzjastyczny dziennikarz mówi wprawdzie gdzieś tam na łamach swojego piśmka, że dzisiaj jabłko już przestało być niedostępne dla dziecka chłopskiego czy robotniczego. Widz jednak wie, że jest inaczej. Skaczą mu przed oczyma ceny. Piękne wypiełgnowane renefy, kosztele, baumany chowają się nagle za wywieszki z napisami: 160 zł, 200 zł. Cyfry się kręcą, wirują. Jabłko się broni, szepce, że chce być jedzone, owszem, że jest zdrowiem i radością dla człowieka. Ale tymczasem „rzeczywistość skrzeczy”. Nasz widz to tak zwany „przeciętniak”. Taki ma 5,000 zł miesięcznie, może trochę mniej, może trochę więcej, to jest przeciętna zarobku. Do tego ma czteroosobową rodzinę. Propagatorzy mówią mu + jedno jabłko dziennie to zdrowie twoje człowieku! Chyba tak, ale przy tym liczy: cztery jabłka dla rodziny — 100 zł. W przeliczeniu miesięcznym 3,000 zł. „Nie chyci” panie dziennikarzu — ręka dziecka, wyciągnięta ku owocowi, opada zawiedziona. Produkcją, okazuje się, rządzi surowe prawo. Mała ilość artykułu, — wysoka cena, to są niezmiennie prawa ekonomiki. Nasz drzewostan jest dziś mały, surowe zimy przetrzebiły drzewa naszego kraju, jak wojna ludzi. Gdy chodzi o owoce propaganda spożywcza jest zlekka kpiną z dzisiejszej biedy ludzkiej. Za parę lat już będzie inaczej. Spółdzielnie ogrodnicze pracują na „całą parę” z Tymbarkiem na czele. Powstają setki szkółek drzew owocowych, drzewka te rozprowadzane są między rolników, by zakładali sady.

POZÓR I RZECZYWISTOŚĆ

Na wystawie łódzkiej znalazło się wszystko to, co mogą wyprodukować nasze ogrody i sady. Dziesiątki różnokształtnych i różnokolorowych odmian jabłek, stopy wspaniałe wyrosniętej marchwi nantejskiej, pięknie ukształtowanych buraków ćwikłowych, pietruszki, porów, selerów, jest wspaniały gatunek cebuli wolskiej. Warzywa, owoce — pachnące, barwne. Stoiska estetycznie pomyślane, plony pracy ludzkiej starannie zaprezentowane. Owoc i warzywa pokazane są w trzech odmianach ich możliwej konsumpcji — w stanie surowym, owoc i warzywa przerobione na konserwę, wreszcie produkty te pod postacią suszu. Warzywa w tych odmianach mogą być spożywane jak rok długi; przemysł konserwowy i suszarni przedłużają czas konsumpcji.

Wystawa gromadzi wszystko to, co w jakikolwiek sposób wiąże się z produkcją ogrodniczą, można tu oglądać środki na zwalczanie szkodników, wszelkiego rodzaju narzędzia, ułatwiające pracę w ogrodzie; rękami ludzkimi idzie i tu technika znakomicie w pomoc.

Widz może się napatrzeć, po nasyceniu jednak oczu, zaczyna się czegoś niepokoić. Czegoś mu tu brak. Dowiedział się, że winogrona mają największą ilość witamin, że spółdzielnia ogrodnicza w Tymbarku ma pierwszorzędną obroty, że hodujemy wiele pięknych odmian jabłek, że owoce najładniejsze są w okolicach Nowego Sącza. Wreszcie jego niepokój kończy się w wyrażeniu postawionym pytaniu. Gdzie wskażnik produkcji? Iż, na Boga, możemy zjeść tej marchwi, o której rodzice, gdy

byliśmy mali, mówili, że „krwi przysparza”, no a te wspaniałe „oberlandzkie”, czy „piękna z Boskoop”, bądź żółciśkie „pepiny londyńskie” czy „Janathany”, dla kogo to? (Mój widz jest robotnikiem lub gospodarzem przybyłym do Łodzi z wycieczką wiejską, bądź nauczycielem). Któż to może jeść? Entuzjastyczny dziennikarz mówi wprawdzie gdzieś tam na łamach swojego piśmka, że dzisiaj jabłko już przestało być niedostępne dla dziecka chłopskiego czy robotniczego. Widz jednak wie, że jest inaczej. Skaczą mu przed oczyma ceny. Piękne wypiełgnowane renefy, kosztele, baumany chowają się nagle za wywieszki z napisami: 160 zł, 200 zł. Cyfry się kręcą, wirują. Jabłko się broni, szepce, że chce być jedzone, owszem, że jest zdrowiem i radością dla człowieka. Ale tymczasem „rzeczywistość skrzeczy”. Nasz widz to tak zwany „przeciętniak”. Taki ma 5,000 zł miesięcznie, może trochę mniej, może trochę więcej, to jest przeciętna zarobku. Do tego ma czteroosobową rodzinę. Propagatorzy mówią mu + jedno jabłko dziennie to zdrowie twoje człowieku! Chyba tak, ale przy tym liczy: cztery jabłka dla rodziny — 100 zł. W przeliczeniu miesięcznym 3,000 zł. „Nie chyci” panie dziennikarzu — ręka dziecka, wyciągnięta ku owocowi, opada zawiedziona. Produkcją, okazuje się, rządzi surowe prawo. Mała ilość artykułu, — wysoka cena, to są niezmiennie prawa ekonomiki. Nasz drzewostan jest dziś mały, surowe zimy przetrzebiły drzewa naszego kraju, jak wojna ludzi. Gdy chodzi o owoce propaganda spożywcza jest zlekka kpiną z dzisiejszej biedy ludzkiej. Za parę lat już będzie inaczej. Spółdzielnie ogrodnicze pracują na „całą parę” z Tymbarkiem na czele. Powstają setki szkółek drzew owocowych, drzewka te rozprowadzane są między rolników, by zakładali sady.

Propaganda tu nie ogranicza się do rzucania hasel bez pokrycia, a idzie z pomocą do planu konkretnym. Spółdzielnia ma swojego instruktora — ogrodnika, który ekologicznie doradza, pomaga, poucza i spółdzielnia prócz drzewek dostarcza narzędzi

i środków chemicznych do zwalczania szkodników w ogrodach. Ruch spółdzielczy może za parę lat rozwiązać problem taniego jabłka. Dziś niestety mogą je nadal jeść nieliczni.

A cóż z warzywami??? Z doświadczenia wiemy, że tak bezpośredni ich producent chłop jak i człowiek miejski w okresie wegetacji zjadają tych warzyw dostateczną ilość. Gorzej jest w miesiącach zimowych. Tu może przyjść z pomocą konserwa jarzynowa — groszek zielony, fasolka szparagowa, pomidory, ogórki. Apetyczne! ale znów w puszkach i słojach diabelnie drogie. To samo, co z jabłkiem. „Przeciętniak” nie stać na te rzeczy, które powinien jeść. W wypadku drugim jednak tkwi jakiś błąd. No bo surowca mamy chyba dosyć, zdolność przetwórcza fabryk też jest większa niż ich produkcja. Przemysł konserw warzywnych stwierdził, że przerobi tylko 3,5 proc. ogólnego zbioru warzyw i owoców, podaje za powód tego małego wskaźnika słabą chłonność rynku wewnętrznego. Dość dziwnie brzmi to oświadczenie. Przemysł ten używa tu terminów: chłonność rynku, opłacalność, tak jakby z innej struktury gospodarczej, nie naszej. Okazuje się, że przyzwyczajenia to silna strona człowieka. Elementarne znów prawo handlu mówi, że zwiększenie produkcji wpływa na potaniecie wyprodukowanej jednostki. Przypuszczamy, że ilość odbiorców na pewno by się zwiększyła, gdyby produkt staniał.

Wystawa łódzka gdyby chciała propagować spożycie owoców i wrzyw, stała by się czymś w rodzaju „komedii pomyłek”. Natomiast jest cenną imprezą, gdy daje wytyczne do produkcji, gdy zachęca i pokazuje drogi, gdy mówi o osiągnięciach i perspektywach na przyszłość. To jest pozytywna robota Organizatorów wystawy. Jeden skromny afisz Spółdzielni Łowickiej, w którym się mówi, że zakontraktuje ona od chłopów na przeciąg 5-u lat wszystkie warzywa z 5,000 ha ziemi, — mówi wiele. Na rachunek zakontraktowanych plonów daje nasiona, nawozy, narzędzia, założy 50 szkółek drzewek owocowych! To jest robota. Taki afisz był na wystawie tylko jeden, prawdopodobnie przypadkiem, ale faktów mu odpowiadających jest w dzisiejszej Polsce dużo.

Piotr Wyrobek

O honor chłopski

Każdy z nas nosi w swej duszy Amerykę, lecz czy każdy z nas umie być tym Kolumbem, który ją odkrył? Wszak już powiedziano, że kłamstwem jest wdzięk — złuda jest piękność, zatem honor i sława mogą być tylko tym zboczeniem moralnym, przejawiającym się w zapomnieniu o tym, czego dokonali nasi przodkowie, zanim my odkryliśmy w sobie inne wartości. Bo wartości życia człowieka są zawisłe od wartości jego duszy. Silne ciało potrzebuje ruchu, wyładowania energii, a gdy ją człowiek czy to w boju czy w inny sposób wyładowuje, to jest jego „honorem”. — Żywy umysł potrzebuje znowu stawy duchowej, zdobywa więc wiedzę tak jak serce zdobywa miłość, gdyż i umysł człowieka pragnie zaspokojenia — a zdobycze te są tym honorem człowieka.

Posiadający charakter nie ma zwyczaju wyrażania się zle o kimś. Nazywamy takiego człowiekiem honoru. — Honor nie jest niczym innym jak kontrolą samego siebie. Jest zatem dążeniem do poznania samego siebie pod znakiem dobra i piękna. Aby honor człowieka należycie ocenić, wystarczy często, gdy zna się jego nieprzyjaciół i słyszy się, co o nim mówią.

Ja np. zawsze marzyłem tylko tym, aby w życiu być małym i pożytecznym dla drugich, za co często spotykałem się z zarzutem, że nie mam honoru. Jak Dante w poemacie „Biesiada” czułem wstręt do tych, których pycha rozsądzała: wstrętna żądza władzy, chciwość pieniądza lub ugania się za sławą. A już w młodości słyszałem od moich rówieśników na wsi takie przytyki: „Pietrek! — miej honor — bądź chłopem!”. Znaczyło to: nie bądź tchórzem, gdy cię kto zaczepi — to wał!

Gdy pewnego razu wracałem z miasteczka i wstąpiłem do karczmy zw. „na pnakach”, zastałem tam czterech parobczaków pijących piwo, którzy zaprosili mnie ku sobie, stawiając przede mną szklankę piwa. Jeden z nich zgryźliwie zębami i wypowiedział te słowa: „Ty Pietrek nimas żadnego honoru, bo tego

z księdzem wikarym i profesorami i organistom chodzisz a nami parobkami gardzisz”.

Zdziwiło mnie zaraz dlaczego moi „honorowi” przyjaciele tak szybko spijają piwo i każą żydowi stawiać inne, gdy ja ani potłowy szklanki nie wypilem, lecz wyjaśniło się to niżej, gdy moi znajomi wyszli do drugiej izby na jakąś naradę, a Żyd przychodzi do mnie i mówi: „Pietrek uciekaj, bo będą cię bić”. Oczywiście i tu stchórzyłem i czmychnąłem, a gdy ci czterej zauważyli, byłem już o jakie pół kilometra od karczmy na osieleckiej górze i widziałem z daleka ich pogróżki i słyszałem krzyki. Odgrzałem mi się za to, że nie trzymałem z nimi i nie szedł po linii ich chłopskiego honoru. Chodziłem z takimi od których pobierałem książki do czytania zamiast waleśać się od karczmy do karczmy i za to nienawidzili mnie jak człowieka bez chłopskiego „honoru”.

A jeszcze jeden przykład: w r. 1911 odbywały się wybory do austriackiego parlamentu. W mojej wsi miało się odbyć zgromadzenie przedwyborcze, na którym mieli przemawiać kandydaci na posłów. Ja trzymałem stronę SL, z którego był kandydatem wójt z Bieńkówek Józef Rusin, ludowiec, chłop bardzo światły i porządny człowiek.

Wstąpiłem do karczmy aby zbadać sytuację. Zastałem pełną karczmę chłopów, którzy na mój widok powstałi i raczyli mnie piwem, pytając się mnie, kogo z tych kandydatów radzę im wybierać. Gdy im zaleciłem Józefa Rusina krzyknęli: „My nie chcemy żadnego Rusina, bo my na ciebie chcemy głosować!”. Wykrecałem się od tego, gdyż nie kandydowałem, a oni okrzyknęli mnie znowu: „Ty nimos żadnego honoru — nasa wieś chce mieć ten honor, abyś ty był posłem! A ty nie dbos o swój honor!”.

Otóż w tych słowach jest gotowa wypowiedź, jak już wtedy świetlejsi chłopcy zaczęli pojmować znaczenie honoru chłopskiego. Jednak nie wszyscy, bo między nimi był i ja, który nie czytał gazet, a czy było

trzeba, czy nie trzeba, to i sto piw kazali postawić żydowi, a gdy „honor” ich opanował jakiś szal (jak w pewnym wypadku się to zdarzyło) te 100 piw fundator zwał z stolów na podłogę, bo to jego „honor” mu tak kazał, i znowu wołał: „Żydzio! postaw tu 100 piw” — no i drugi raz szynkarz nalał 100 szklanek — chłop za 200 szklanek „honorowo” zapłacił, ale gazety taki nie zaprenumerował! Inny znowu zaprenumerował sobie dziennik „Czas” bo to panowie czytają, bo mu tak kazał „honor”.

Chwała Bogu, że dziś ten chłopski honor przybiera kolor inny. Świadcza o tym korespondencje ze wsi, pisane do gazet chłopskich domagające się dla wsi wyższej kultury. Wystarczy choćby przeczytać gazetę „Chłopi” i taki w niej artykuł pt. „Na wyższy szczebel kultury”, albo też wiersz Stanisława Nędzy-Kubińca pt. „Chłopski Dom” zamieszczony w Nr 1 pisma „Wolna Gromada”. Dziś i ta wieś, z której pochodzi, w inny sposób niż dawniej podchodzi do pojęcia honoru. Od przeszło 20 lat ma 7-klasową szkołę, pomieszczoną w budynku, którego by się nawet Kraków nie powstydził i dziś słysząc tam można takie chępliwe słowa, że 36 uczącej się młodzieży ma w szkołach średnich. — podczas gdy z sąsiedniego miasteczka tylko 17 uczęszcza do takich zakładów. A więc honor chłopski został uratowany — i mój i mojej rodzinnej wioski honor!

KOMUNIKAT ODDZIAŁU WIEJSKIEGO ZW. ZAW. LIT. POL.

Od lata b. roku Sekretariat Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Lit. Pol. mieści się w Warszawie. Prosimy członków „Oddziału”, by w sprawach wszelkich kierowali listy na adres: Edward Marzec, Sekretarz Oddziału Wiejskiego Związku Zaw. Lit. Polskich, Warszawa — Marymont, ul. Rajszeńska 49.

WYDAWNICTWA Instytutu Oświaty Rolniczej Związku Samopomocy Chłopskiej

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:
Warszawa, Al. Przyjaciół 5.
WRZESIEŃ 1946

BIBLIOTEKA SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ

- Nr. 1 Prof. dr E. Chroboczek:
„Ogród warzywny przy domu”,
str. 28, cena zł. 5.
- Nr. 2 Inż. St. Zaliwski:
„Krzewy owocowe”, str. 64
cena zł. 25.
- Nr. 3 Prof. dr J. Kochman:
„Ochrona sadów”, str. 50
cena zł. 20.
- Nr. 4 K. Chrzastowski:
„Wskazówki dla księgowych
spółdzielni Samopomocy Chłop-
skiej”, str. 104, cena zł. 40.
- Nr. 5 Prof. dr J. Jagmin:
„Uprawa lnu i konopi”, str. 56,
cena zł. 20.
- Nr. 6 Prof. dr Z. Golonka:
„Łąki — ich uprawa i użytko-
wanie”, str. 36, cena zł. 18.
- Nr. 7 Doc. dr A. Listowski:
„Ziemniaki”, str. 40, cena zł. 20.
- Nr. 8 Prof. dr Cz. Kanafojski:
„Siewnik rzędowy”, str. 36,
cena zł. 25.
- Nr. 9 Prof. dr Z. Pietruszczyński:
„Lucerna”, str. 40, cena zł. 25.
- Nr. 10 Prof. Andrzej Mering:
„Jak przetwarzać owoce i warzy-
wa na użytek własny”, str. 72,
cena zł. 30.
- Nr. 11 Inż. Z. Dubiska i dr J. Dubiski
„Cospodarski chów kur” str. 66,
cena zł. 30.
- Nr. 12 Dr J. Kielanowski:
„Chów świń”, str. 52, cena zł. 30.

ZAGADNIENIA ROLNICZE

- Nr. 1. Inż. St. Zaliwski: „Dobór od-
mian drzew i krzewów owoc-
owych”, str. 20, cena zł. 10,
(wyczerpane).
- Nr. 2. Prof. dr Cz. Kanafojski: „Za-
gadnienie racjonalnego wykorzy-
stania traktorów”, str. 10, cena
zł. 10, (wyczerpane).
- Nr. 3. Inż. Z. Dubiska: „Naturalny
i sztuczny wychów kurcząt”,
str. 12, cena zł. 10, (wyczerpane).
- Nr. 4. Doc. dr A. Listowski: „Możli-
wość rozwoju nasennictwa w
drobnych gospodarstwach”, str.
12, cena zł. 10.
- Nr. 5. Prof. dr Z. Pietruszczyński:
„Wybór kłębów ziemniaczanych”,
str. 12, cena zł. 10 (wyczerpane).
- Nr. 6. Prof. dr J. Kochman: „Cho-
roby wirusowe ziemniaków”,
str. 20, cena zł. 20.
- Nr. 7. J. Skulski: „Niebezpieczeń-
stwo stonki ziemniaczanej”, str.
13, cena zł. 10.
- Nr. 8. Prof. dr E. Chroboczek i Prof.
dr Fr. Piasek: „Jak przebud-
ować istniejące budynki na prze-
chowalnie owoców i warzyw”,
str. 32, cena zł. 20.
- Nr. 9. Prof. dr inż. Czesław Kana-
fojski: „Sprawa budowy polskich
ciągników rolniczych”, str. 12,
cena zł. 15.
- Nr. 10. Mgr. J. Pieniążek: „Sok Po-
midorowy”, str. 16, cena zł. 15.
- Nr. 11. Prof. dr E. Chroboczek: „Za-
gadnienie produkcji i przetwórstwa
warzyw w chwili obecnej”,
str. 44, cena zł. 20.

W DRUKU:

- Prof. dr M. Górski:
Nawozy i Nawożenie.
- Prof. dr M. Górski:
Nawozy Naturalne.
- Prof. dr B. Świętochowski:
Poradnik Osadnika Śląskiego.
Część I — Uprawa roli i roślin.

W OSTATNIM (43/71) NUMERZE „WSI”
z dnia 3 listopada 1946.

Tadeusz Papier — „Emigranci”, Władysław Blachut — „Jeszcze o wiejskiej poczcie”, Władysław Dziubiela — „Wieczorne opowieści”, Zygmunt Sierp — „We wsi muzyka”, Włodzimierz Wnuk — „Ziemia w Guseń jęczała”, Stanisław Pięta — „Partyzant i dziewczyna (III)”, Stefan Baścik — „Warunki materialne studiów akademickiej młodzieży chłopskiej”, Zygmunt Stolarski — „Jak wczoraj”, Stefan Lichański — „U poetów”, Kazimierz Sosnowski — „Bitwa pod Gdowem”, Czesław Garda — „Organizacja powszechnej oświaty rolniczej w Polsce”, Stanisław Paleczny — „W wczoraj”, korespondencja, 1 ilustracja, 8 stron.

Stefan Lichański

„A walczącym — bojowy znak”

Władysław Broniewski: BAGNET NA BRON Pod znakiem poetów, seria trzecia, Wydawnictwo J. Mortkowicza. Kraków — Warszawa, MCMXLVI, Spółdzielnia Wydawnicza „Książka”, str. 46 + 2 nl. DRZEWO ROZPACZAJĄCE, wyd. j. w., str. 88 + 4 nl.

Ukazały się dwa zbiorki wierszy czołowego poety polskiej lewicy społecznej, zbiorki wierszy powstałych przeważnie na emigracji i tematycznie związanych z przeżyciami owego okresu. Nie wnoszą te tomiki do twórczości Broniewskiego jakichś tonów nowych i nieoczekiwanych, raczej nawet rzecz można, że podkreślają i uwypuklają najbardziej zasadnicze cechy charakterystyczne tej poezji.

Broniewski jako poeta związany jest ideologią artystyczną z tradycjami „Skamandra”. W ostatnich latach przedwojennych poezja Broniewskiego nasycała się jednak także elementami treściowymi i formalnymi przejętymi skądinąd, głównie z poezji rosyjskiej. Okres emigracji jakby zerwał zupełnie te związki i z powrotem uwieźlił poetę wyłącznie w kręgu skamandryckiej tradycji wierszopisarskich. Prawdopodobnie dlatego odnosi się przy lekturze obu ostatnich zbiorów wrażenie, że choć zawierają one szereg utworów zgola nieprzeciętnych, są jednak w porównaniu np. z przedwojennym tomikiem „Troska i pieśń” — krokiem wstecz, odwrotem ku wcześniejszej fazie rozwoju poetyckiego, fazie związanej w zakresie form wyrazu z terminowaniem u „Skamandrytów”, a w zakresie ideologii — z kontynuowaniem tradycji polskiego socjalizmu wytworzonej przez rewolucję 1905 roku, a skodyfikowanej w utworach Żeromskiego, Struga, Daniłowskiego.

Poezja to czysto emocjonalna, bezpośrednia wypowiedź pod naciskiem wewnętrznego impulsu:

Ja bym chętnie nie pisał,
ale muszę:
czort jakiś mnie rozkołysał,
włazł w duszę,

czort jakiś szepcze mi: „Napisz
na przekór piekłu i niebu”, —
i nie pomoże Papież,
i nie pomoże Belzebub.

Twórczość poetycka tak pojęta staje się prostym przedłużeniem przeżyć rzeczywistych, zamknięciem w „mowę wianą” stanów psychicznych związanych z aktualnie przeżywanymi zdarzeniami. Trudno byłoby twierdzić, że niepodobna przeżyć bardzo niedawnych wykorzystywać jako tworzywa artystycznego, jak to twierdzili np. pseudoklasyści. Ale nie wolno i pseudoklasyków potępiać z tego powodu zbyt pochopnie. Przeżył czasowo bliskie tylko wtedy bowiem mogą zostać wykorzystane z powodzeniem jako tworzywo artystyczne, kiedy przejdą przez naprawdę potężny transformator i intelektualny i artystyczny, gdy wydobyte z nich zostanie to, co przelotnej chwili nadaje wagę momentu historycznego. W innym wypadku albo robota artystyczna chybia celu i otrzymujemy jakąś pseudoliteracką publicystykę, albo prywatne, indywidualne przeżycie wysuwa się na plan pierwszy i zamiast dzieła sztuki powstaje autobiograficzna ploteczka. Pseudoklasyści, dla których ideałem była doskonałość wyrazu, a nie siła, zdawali sobie (choć może podświadomie) sprawę z tych niebezpieczeństw i woleli nie zapuszczać się na tereny takiego poetyckiego „Dzielnego Zachodu”, tolerując najwyżej poezję okolicznościową okleisaną surowymi prawidłami poetyki normatywnej.

Broniewski jest zbyt impulsywny, by stosować się do wcale zresztą niegłupich wskazań poetyki pseudoklasyckiej i usiłuje stoczyć walkę wręcz ze swoją współczesnością, ażeby opanować jej istotny, najgłębszy sens. Rezultatem tych usiłowań są wiersze „z głębszą myślą” żywo przypominające Słonimskiego, który całą swoją mądrość filozoficzną czerpał z powieści Wellsa. Bardzo charakterystyczne będą pod tym względem utwory takie jak „Grób Tamerlana”, „Via Dolorosa”, „Dwugłos” z „Bagnet na bron” czy „Po co żyjemy” lub „Homo sapiens” z „Drzewa rozpaczającego”. Wiersze te świadczą najlepiej, że liryka refleksyjna, filozofująca nie jest najsilniejszą pozycją w dorobku poetyckim Broniewskiego. Echa Słonimskiego są tu bardzo wyraźne. Oto np. w zakończeniu wiersza „Homo sapiens” poeta wyraża życzenie,

by na skrwawionej globu mapie
stał do walki przeciw lotrom
dobry, spokojny — Homo Sapiens.

Czyż to nie reprodukcja dość wierna strofy Słonimskiego brzmiącej następująco:
Z trudem podźwiga głazy powiek
Ażby podnieść wzrok w błękit,
Wstaje — łagodny, słaby człowiek,
Syn prawowity.

A czyż nie najzupełniej w duchu Słonimskiego jest utrzymana wizja postaci Chrystusa w wierszu „Via Dolorosa”:

Ciemnie na głowie.
Sam wśród gawiedzi ulicznej,
Dobry człowiek.
Więzień polityczny.

Jak na liryce refleksyjnej Broniewskiego zaciążył fatalnie wpływ Słonimskiego i nie-
możność wyjścia poza krąg ideologiczny przejęty przez pisarzy typu „skamandryckiego” od młodopolskiej lewicy literackiej (Żeromski, Struga), tak znowu w liryce osobistej autora „Drzewa rozpaczającego” słyszymy wyraźnie echa Tuwima z okresu „Siódmej jesieni” i „Sokratesa tańczącego”:

Listki akacji? Jesień? No tak...
Życie — no tak — niewczesne...
Pozwól, że lękne — niech trafi szlag! —
pozwól, że lękne i westchnę.
(„Wiersz przeciwjesienny”).

W podobnym tonie i stylu są utrzymane utwory takie, jak np. „Warum”, „List bez adresu”, „Ze złości”, „Wiersz ostatni” i cały szereg innych. W paru zaledwie utworach osobistych przełamuje poeta ten manieryczny szablon skamandryckiej „poezji popołudniowej” i daje utwory pełne czystego liryzmu, wiersze o naprawdę wielkim ciężarze gatunkowym jak np. „Ballada” czy „Reka umarłej”. (Motyw zasadniczy tego ostatniego utworu jest zaczerpnięty z ludowego wierzenia, że dusze umierających mogą dawać znać bliskim sobie osobom o swoim odejściu).

Mimo jednak wielkiej niekiedy piękności swojej wiersze tego rodzaju jak wspomniane powyżej są w twórczości Broniewskiego zjawiskami wyjątkowymi. Zasadniczy ton, zasadniczy nurt tej poezji buntu i walki odnajdujemy dopiero w liryce żołnierskiej naszego poetę:

Nasze granice naszli zniemacka
stupy graniczne zewsząd zrabali...
Idzie Kresowa, idzie Karpacka,
w dymie eksplozji, w huku batalii.

Nasze granice?... — trzeba ich szukać
w rytmie kaemów, w chrzęście pancerzy
My już to wiemy, stara nauka
polskich tułaczy, polskich żołnierzy.

(„Monte Cassino”)

Dla obu ostatnich zbiorów najbardziej reprezentatywne i rozstrzygające o znaczeniu tych książek są wiersze takie jak „Bagnet na bron”, „Żołnierz polski”, „Co mi tam troski”, „Zamieć”, „A kiedy będę umierał”, „Monte Cassino”. Przekonywują nas one, że poeta ma pełne prawo mówić o sobie:

bo dziś Pięgrzymów jam rówieśnik,
Wygnańców depczę ślad,
i muszę donieść ciężar pieśni
na tamten brzeg mych lat.

(„List z więzienia”)

I te wiersze pozwalają nam zrozumieć sekret wpływu i popularności poezji Broniewskiego. Poeta ten potrafi nadawać poetycki wyraz uczuciom zbiorowości, potrafi uczucia te zamykać w słowo najprostsze, a zarazem najtrafniejsze, jakby właśnie przez tę zbiorowość podyktowane. I dlatego nie w jakichś rewelacyjnych z punktu widzenia filozofii sformułowaniach, nie w oryginalności czy doskonałości walorów formalnych leży siła i wartość poezji Broniewskiego, ale właśnie w zdolności nadawania kształtu uczuciom i pragnieniom bezimiennym, nie mogącym znaleźć sobie wyrazu — i to nadawania kształtu właśnie takiego, że zbiorowość przeżywaną owe pragnienia i uczucia poznaje je w tym kształcie jako własne. Jeżeli o kimś ze współczesnych poetów można z całą pewnością powiedzieć, że jest poetą ludowym w najpełniejszym i najwłaściwszym tego słowa znaczeniu — to właśnie o Broniewskim. Nie też dziwnego, że robotnicy Łodzi ufundowali z groszowych składek nagrodę dla tego poety. Pierwszy — i jakże zasłużony pierwszy! — to poeta, który wawrzyn otrzymał nie z rąk kolegów po piórze czy państwowych urzędników, ale z rąk pracującego ludu. Przed wojną umiał Broniewski wyrazić w swej poezji cierpienie i bunt mas ludowych, w okresie wojny stał się wyrazicielem ich patriotyzmu, ich woli walki i zwycięstwa.

Jest jeszcze jeden rys poezji Broniewskiego, który gwarantuje jej rozległość i doniosłość wpływu: wspaniałe wieczne malkontentstwo poety, które każe mu szukać coraz nowych i doskonalszych wzorców dla kształtowania rzeczywistości, nie zadowalać się już osiągniętymi formami, protestować przeciw wszelkim odstępstwom od realizowanych ideałów.

Moje życie podobne lustru,
w którym zły przegląda się los:
każde prawo i każdy ustrój
w całpalny mnie rzuca stos.

(„Do poezji”)

Ta poezja nigdy nie stanie się nadwornym błaznem ani lokajem żadnej istniejącej rzeczywistości. Ale jej opozycjonizm, jej buntowniczność nie ma w sobie nic z nihilistycznego pesymizmu, negującego wszystko w imię własnej impotencji twórczej. Bunt przemawiający strofami wierszy Broniewskiego — to protest wyczulonego sumienia, chwytającego trafnie wszystkie fałszy, wszystkie dysonanse istniejącej rzeczywistości. Ta forma poetyckiego malkontentstwa jest nie potępieniem świata, ale jego najgłębszą afirmacją, bo u podstaw jej leży ta sama choć innymi wypowiadająca się językami wiara w możliwość nieograniczonego postępu ludzkości, która każe Słowackiemu żywić nadzieję:

Ze coś większego ze świata być może,
Gdy się urodzi w nowość z ducha cudów,
Niż gniazdo nędznych i cierpiących ludów.

To zestawienie Broniewskiego ze Słowackim nie jest ani przypadkowe, ani też nie należy go uważać za zdawkowe pochlebstwo. I poetyka Broniewskiego i jego pogląd na rolę sztuki w życiu społecznym wywodzą się poprzez Młodą Polskę z tradycji polskiego romantyzmu. Nie mam zamiaru w tym wypadku ani zachwycać się tymi parantelami literackiego Broniewskiego, ani też łamać nad nimi ręk. Chodzi mi po prostu o stwierdzenie faktu. Jedno tylko można powiedzieć z całą pewnością: postawę swoją traktuje Broniewski najzupełniej serio, nie ma nic z pozy ani przesady w tej autocharakterystyce poety:

całe życie jestem na froncie
Ikarowy zacząwszy lot,
jak samolot z tych nieb mnie strącisz,
żebym spadł jak młodziący młot,
żebym runął sercem pionącym
jak przedwiecznej legendy ptak:
obietnica umierającym,
a walczącym — bojowy znak.

(„Do poezji”)

Bojowym znakiem dla walczących była zawsze poezja Broniewskiego. Wyrósł ona poza techniczną umiejętność gładkiego składania słów w wiersze, poza snobistyczną zabawę w jałowe rymotwórstwo. Nasycona najgłębszą treścią ludzką, przemawiająca przede wszystkim moralną swoją siłą i powagą, imponująca odwagą przekonań pozostanie ta poezja — mimo wszystkich zastrzeżeń, jakie można zgłosić pod jej adresem — trwałą pozycją w dziejach naszej literatury.

Biblioteczka tyg. „Wieś”

Tygodnik „Wieś” rozpoczyna wydawanie „Biblioteczki Popularnej”. Technicznie rzecz biorąc będą to tomiki do 32 str. druku, wydawane co miesiąc.

Sprawa zasadniczo, interesująca czytelnika i pisarza jest jednak przede wszystkim myśl tego wydawnictwa. Otóż przy pomocy takich rodzajów literackich jak nowela, obrazek, opowiadanie, pragniemy dać obraz tych przeobrażeń, które przeżywa wieś dzisiejsza.

Reforma rolna w jej trudzie praktycznego załatwienia, wszystkie jej konsekwencje a są one niebylejakie i strukturę wsi zmieniają do gruntu, próby racjonalnego planowania w gospodarstwie rolnym, przylamywanie się tych prób w świadomości chłopów, technizacja wsi, pęd wsi do awansu kulturalnego, próba przechodzenia chłopów do innych kręgów pracy i wiele innych zagadnień — oto tematyka.

Jest ona bogata i zróżnicowana. Byłoby rzeczą śmieszna załatwiać ją metodą plakatu. Tematyka ta potrzebuje odważnych piór i ostrego spojrzenia. Sytuacja wsi jest niewątpliwie nadal trudna. Przeżyła ona poważny wstrząs socjalny. Nowa wieś dopiero się wykuwa; do rozrostu ma ona warunki; to jest jej atutem, że ma obecnie przed sobą perspektywę wyjścia.

Można tu, ażeby dać w przybliżeniu to, o co nam chodzi, posłużyć się analogią historyczną. Ta analogia jak każda inna tylko w pewnych punktach będzie nakrywała dwa momenty z dziejów naszej rzeczywistości wiejskiej, które chcemy zestawiać. Te momenty są różne w swych przyczynach, podobne nowością sytuacji. To wieś powulasczeniowa z drugiej połowy XIX w. i wieś po Reformie Rolnej — owoc rewolucji społecznej którą nasze państwo przeżywa.

Wieś powulasczeniowa została literacko pokwitowana. Pióra Prusa, Stenkiewicza, Orzeszkowej kreśliły te właśnie wieś, stawiając te wszystkie zagadnienia, które wówczas były dla niej właściwe. W ten sposób nowela poetyzująca spełniła swoje zadanie — wprowadziła w świadomość narodową sprawę, której były palce dla tamtego momentu historycznego.

Dzisiaj pisarze ludowi stoją wobec równie trudnego zadania — wprowadzić w świadomość warstwy chłopskiej i narodu takie kategorie myślenia, uczucia i działania na odcinku rzeczywistości wiejskiej, by wieś ta awansowała rzeczywistości.

Pisarz jest czułym świadkiem procesu historycznego.

Pisarz swoją organizującą wyobraźnię literacką może pokazać gromadzie wiejskiej wszytkie możliwości, jakie przed nią stoją.

Autorami nowel, wydawanych przez Tygodnik „Wieś” będą pisarze z „marką” a poza tym młodzi literaci z kręgu wiejskiego.

Zwracamy się do pierwszych jak i do drugich z apelem o nadsyłanie swoich utworów.

Jasne jest że podjęcie tego wydawnictwa napotka na duże trudności. Praktyczne wykonanie będzie mogło niejednokrotnie budzić zastrzeżenia. Jedne pozycje będą lepsze, drugie gorsze. Prosimy jednak o życzliwe przyjęcie samej myśli i o dopomożenie w jej realizacji.

Prosimy tak pisarzy jak i czytelników: niech ewentualne błędy nie przekreślają w ich oczach całości.

Pierwszą pozycją „Biblioteczki Popularnej” są opowiadania Józefa Pogana: „Dekret Niebieski” i „Biedny i Bogaty”.

Jest tu ujęta sprawa reformy rolniej i różnicowania socjalnego wsi. Technika pisarska Pogana wskazuje na to, że Autor łączy się z typem myślenia „wsi wczorajszej”. Do niego nawiązuje, by stworzyć jakby punkt wyjścia do tych ujęć, których dzień dzisiejszy wymaga.

L. S.

POPULARNA BIBLIOTECZKA
TYGODNIKA „WIEŚ”

TOM I

JÓZEF POGAN

DEKRET NIEBIESKI
BIEDNY I BOGATY

OPOWIADANIA

CENA 20 ZŁ.

WYDAWNICTWO ZWIĄZKU
SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ
ŁÓDŹ — 1946

A. Kwiecień

MAZURY

1. TAM, GDZIE KOPERNIK WOJOWAŁ

Nagle skończyły się mazowieckie chaty o bielonych ścianach i słomianych dachach. Skończyły się równiny uprawnych pól. Ukazały się rozrzucone czerwone domy i zabudowania. Jesteśmy na Ziemi Mazurskiej. Senne lasy, znaczne przestrzenie nieuprawnych jeszcze pól, potłuczone miasta i wsie, liczne jeziora o fantastycznych kształtach — oto krajobraz mazurski. A przede wszystkim lasy i jeziora. Poświęcono im wiele lirycznych opisów i uwieczniano często na uroczych kartach fotograficznych. A ponieważ nie samą liryką człowiek żyje, więc należy przypomnieć realnie: lasy i jeziora to w tej chwili największe bogactwa Ziemi Mazurskiej.

Olsztyn jest siedzibą województwa. Liczy ponad 40 tys. ludności, t.j. więcej niż połowę stanu przedwojennego, także więcej niż połowa miasta — szczególnie śródmieście — leży w gruzach. Zachował się jednak Zamek. Niemcy uważający zawego „grossen Astronomen” Kopernika uporczywie zapominali, że z tego Zamku wielki uczony dzielnie odparł (1521 r.) ataki germańskich drapieżców, odbitych w białe płaszcze z czarnymi krzyżami. Dziś Zamek mieści w sobie Muzeum Mazurskie, w którym mamy bardzo wymownie świadczące za polskość tych ziem eksponaty i dokumenty. Ocalał stary ratusz, choć jakaś głupia ręka poobtrącała głowy licznym rzeźbom frontonowym. W dawnym ratuszu ściśnięte zostały liczne urzędy. Do ładnie zaplanowanej dzielnicy urzędów przeniesie się niezbyt wielkie Województwo, które remontuje sobie obszerny gmach, na którym widnieje jeszcze gotycki napis „Kopernicusschule”.

Olsztyn ma stały Teatr im. St. Jaracza (pomnik Jaracza — stoi naprzeciw gmachu), dwie linie tramwajowe, piękną kolonię pracowniczą nad jeziorami, dużo urzędów, instytucji, organizacji i związków na stopniu wojewódzkim. Jest ciasno. Stosunki mieszkaniowe wolały o rychły wgląd Komisji Specjalnej. Ceny produktów żywnościowych jak na starych ziemiach. Najtańsze grzyby i ryby. W sklepach ruch, ale najwykisz chyba w sklepie Mazurskiej Spółdzielni Rybackiej.

2. WSCHODNIE BASTIONY WOJUJĄCEGO GERMANIZMU

Wiele w te ziemie wsiątko lez i krwi. W dawnych wiekach ujarzmił tę ziemię rycerz, co krzyż nosił na piersiach, a w rękę okiekający krwią miecz, w umysłach zaś zdecydowany zamiar wypędzenia tutejszego ludu. Później pruskie regimenty wciśnęły ten lud w żelaznych swych łapach, urządzając ten kraj na wzór twierdzy i koszar. Ostatnie wcielenie krwiożerczego germanizmu — hitleryzm — najbrutalniej niszczył wszelkie ślady polskości, a równocześnie prowadząc nawet deficytową i zaniedbaną gospodarkę na tych ziemiach — budował w opętańczym szale twierdzą wypadową, skąd rzeczywistość weszły opancerzone dywizje na podbój Polski i Słowiańszczyzny.

O masach wojsk, jakie tu stacjonowały dają pojęcie chociażby te olbrzymie kompleksy koszar w Olsztynie, Elblągu, Bartoszycach, Liębarku i wszystkich większych miastach obecnego województwa olsztyńskiego. Triumf Hindenburga spod Tannenbergu nie został powtórzony i już nie powtórzy się.

Z germańską butą, manią wielkości i w swoistym guście wzniesione pod Tannenbergiem mauzoleum Hindenburga jest mocno zniszczone. Czas, by resztę tego „pomnika” wysadzić w powietrze.

A obok, kilka kilometrów dalej, pola Grunwaldu. Przykro patrzeć na obecny wygląd tego historycznego miejsca. Puste, głuche pola. Żadnego znaku na miejscu. Tylko zapomniane prowizoryczne trybuny, rząd dawno zeschłych świerzków i szczątki po polach rozrzuconych krzesłach. To wszystko chyba jeszcze po zeszłorocznych wielkich Uroczystościach Grunwaldzkich. Jakby stamtąd wszyscy w pośpiechu uciekli... i zapomnieli.

3. NA BISKUPICH TRAKTACH

Środkowa i zachodnia część obecnego województwa olsztyńskiego — to dawniejsza Warmia. Katolicka Warmia, która miała dwudziestu kiliu biskupów-Polaków od Hozjusza (pocz. XVII w.) począwszy, a na Ignacym Krasickim skończywszy (pocz. XIX w.). Tak mówi sala herbowa w Zamku Liębarkim. Zamek biskupów warmińskich w Liębarku, położony nad Łyną — która ongiś głębokie fasy wypełniała — stanowi jeden z najpiękniejszych na Mazurach zabytków, zachowany jako budowla w zupełnie dobrym stanie. Wewnątrz jednak widać drapieżne wizyty. Był tu żołnierz, gdy front się przewalał, był tu później niejeden weszacy szabrownik. Czyja to zła lub beznamiętna ręka poróżbiła

piękne piece majolikowe (w poszukiwaniu skarbów?), plastyczny model zamku i okolicy, zdemolowała zamkową kaplicę?

Rezydencję mieli biskupi warmińscy w Liębarku, katedrę zaś we Fromborku. Katedra z licznymi tablicami i nagrobkami polskich biskupów i kanoników zachowała się w dobrym stanie, chociaż sam Frombork jest w 90 proc. zniszczony i jest prawie wymarłym miastem. Fromborska katedra, wysoko nad miasto i Zalew Wiślany wyniesiona, jest związana z Mikołajem Kopernikiem. Obok katedry wskazują nam budynek i okna sal, w których mieszkał i swe epokowe dzieło „O obrotach ciał niebieskich” pisał Wielki Uczony. W katedrze obok wielkiego ołtarza portret Kopernika, spopularyzowany licznymi reprodukcjami.

Na urwistym brzegu Zalewu wystawili Kopernikowi Niemcy wieżę - pomnik coś, co jest wyjątkowo nieinteligentnie wmontowane w całość związaną ściśle z katedrą.

PIONIERZY

Województwo olsztyńskie posiada już spory zastęp ludzi, którzy są miejscowymi patriotami, w najlepszym tego słowa znaczeniu. Ci doskonale widzą osiągnięcia i braki. Niektórzy z nich pracują tu od kilkunastu miesięcy, borykają się z trudnościami, ale nieustępliwie z dnia na dzień wzmacniają praworządność, podnoszą zagospodarowanie i utrwalają polskość.

Oto jeden z wyższych urzędników Województwa. Mieszka, że pozał się Boże. Martwi się wielce, że wciąż za mało koni na tych ziemiach, że za dużo szabrowników, że nierozsądni ludzie w administracji wiele złego zrobili Mazurom i Polsce. Ale nie tylko się martwi. Wiemy, że mocno zabrał się do ludzi nieuczciwych i sytuację ciągle poprawia, że dzielnie walczy o inwentarz, kredyty i materiały budowlane.

Inżynier K. S. przybył tu z pierwszym Pełnomocnikiem Rządu, gdy jeszcze front był w Królewcu. Zna Mazury wszędy i wszędzie. I kocha je. Pracuje w niewygodach i kłopotach od świtu do nocy. Dzięki niemu zostało zabezpieczonych wiele cennych zabytków, dzięki niemu ruszyła odbudowa wielu miast i miasteczek mazurskich. Puszko kilkanaście drobnych i średnich zakładów przemysłowych.

Chłop z Sokołowskiego Józef H. zorganizował, jako jeden z pierwszych, kilkanaście rodzin z biedoty wiejskiej wyciągniętych mimo grózb i terroru „leśnych polityków”. Osiedlili się na zasadach spółdzielczości - parcelacyjnych w dwóch majątkach w pow. liębarkim. Z chłopską zawziętością zaczęli orać, siał, naprawiać zabudowania i maszyny. Aż tu nagle chwieszczone im, że majątki przechodzą pod kulturę rolne. Zacięli się chłopcy, bo dużo zrobili i na żadną pomoc się nie oglądali. „Nie puścimy swego dorobku” — mówi Józef H. — byliśmy wiele razy w Olsztynie, pójdziemy do Ministra Ziem Odzyskanych, bo mamy za sobą uczciwą pracę i słusność”.

Traktorzysta Henryk P. orze właśnie na rozległych obszarach majątku państwowego koło Ornety. Przybył tu z kilkoma towarzyszami do stacji traktorów. Jeden z przyjaciół wyleciał z maszyną w powietrze najechawszy na minę, dwóch zrezygnowało i wyjechało do Gdańska. Henryk P. pozostał. Od świtu wyjeżdża w pole i orze.

Takich ludzi na Mazurach potrzeba więcej!

DALSZE ROZMOWY

Z innej, ciemniejszej strony naświetla zagadnienia młody milicjant, z którym rozmawialiśmy koło Szczytna. Ciężka i niebezpieczna jest jego służba. Południowe powiaty województwa, leżące nad granicą województwa warszawskiego i białostockiego wciąż jeszcze narażone są na najazdy band o charakterze politycznym, albo rabunkowo - kryminalnym. Wciąż jeszcze zapędzają się tutaj jednostki lub całe grupy szabrowników. Te wszystkie szkodnicze elementy dewastują gospodarstwa prywatne i państwowe, rujnują budynki, niezmieszkałe, dopuszczają się aktów terroru. Najbardziej cierpi na tym ludność mazurska. Wszystko to hamuje zasiedlenie i rozwój gospodarzy tych ziem.

W miastach i miasteczkach dużo sklepów, a wśród nich poważny procent stanowią różne restauracje, piwiarnie, pasztecziarnie i t. p. pokrewne „zakłady”. Jest ich za dużo. Ich właściciele mają pięknie urządzone mieszkania. Ale ich złote czasy skończyły się, wraz z odpływem fał mocno podejrzanym pierwszych „osiedleńców” i „turystów”. Sytuacja wyjaśnia się i krzepnie. Tu już teraz jest miejsce tylko dla ludzi rzetelnej pracy. Szykarze melancholijnie wspominają „dawnie czasy”, bardzo chłodno mówią o obecnych, a szczególnie nieprzychylnie mówią o autochtonach. Zrozumiałe: jeśli często prawem kaduka zabrało się tej ludności

domy, takimże prawem zajęło się meble i inwentarz — to nic dziwnego, że wszystkim wokół mówi się o całkowitym shitleryzowaniu Mazurów.

MAZURY I WARMIACY

Warmiacy (określenie ludności według zasięgu dawnej diecezji warmińskiej) mieszkają w pasie rozciągającym się półkolistym od Sztumu poprzez Bartoszyce, Liębark, w stronę Olsztyna. Mazury (protestanci) zamieszkują tereny południowe i wschodnie b. Prus Wschodnich.

Przed wojną obie te grupy liczyły w sumie ponad 300 tys. ludności. Ludność ta jest z pochodzenia polską. Ale półtora wieku panowania niemieckiego, szczególnie bezwzględna walka z polskością w okresie hitleryzmu — spowodowały, że już znikomy procent tej ludności (i to prawie wyłącznie to najstarsze pokolenie) oparł się wynarodowieniu. Młodzież nie zna już dialektu mazurskiego i uważa się za Niemców. Tylko nazwiska — mimo ich zmieniania — mówią, jakie jest pochodzenie ich właścicieli.

Dziś ludności tej pozostało nieco ponad 65 tys., co stanowi w przybliżeniu 20 proc. obecnego stanu ludności województwa (340 tys.). Przeważają ludzie starzy i dzieci, a więc tacy, którzy albo w sobie nieco polskości utrzymali, albo dają możność wychowania ich na Polaków.

Niestety, do tej pory nie tylko, że nie wykorzystano się tych możliwości, ale przeciwnie: możliwości te wydatnie pomniejszono. Kto zawinił? A więc: pierwsi drapieżni goście (ci najwięcej), później w wielu wypadkach przesiedleńcy, którym bardzo na rękę było potraktowanie jako Niemców wszelkiej ludności, jaką tu zastali, następnie liczne nieuczciwe jednostki, zajmujące stanowiska w aparacie administracyjnym, w samorządzie terytorialnym i organach bezpieczeństwa, wreszcie częściowo zawiniono tu odgórnie nie dopatrzywszy ludzi, którzy tu przyszli do władzy, nie biorąc w obronę prawną ludności mazurskiej i warmiackiej oraz pomijając ją całkowicie w rozdziale pomocy przeznaczonej na to województwo.

Stabilizacja i poprawa stosunków gospodarczych, poprawa bezpieczeństwa, wymierzenie szabrownictwa, oczyszczenie elementów administracyjnych, pomoc materialna dla Mazurów, wreszcie rozwój szkolnictwa — wszystkie te czynniki mogą jeszcze owe 65 tys. ludności — skądinąd bardzo wartościowej i tam potrzebnej — Polsce przywrócić.

Chociaż wzięto się do tego nieco za późno, ale lepiej późno — niż wcale.

REALIZM PODANIA O POPIELU

W lipcu i sierpniu 45 r. na sporych obszarach nie było komu zebrać dojrzałych w polach zbóż. Ziarno i kłosy opadły na ziemię. Stały tu i ówdzie całymi miesiącami nietknięte sterty zboża lub słomy; brakło ludzi, by pola orać i uprawiać. Rzucały się na nie osty i inne chwasty. Ciężka to będzie walka. Ale jeszcze chyba cięższa będzie z gryzoniami. W tych sprzyjających warunkach w niesłychanym stopniu rozmnożyły się myszy i szczury. Gdy z szosy wejdzie się kilkanaście kroków w pole, to wszędzie widać mnóstwo otworów, ziemia ugina się i zapada pod stopami; stada mysz rozlatują się w różne strony. Są powiaty, w których ponad 75 % zbiorów zostało zniszczonych. W powiecie bartoszkim — jak wynika z rozmowy z członkiem Prezydium Pow. Rady Narodowej — sytuacja przedstawia się chyba najgorzej. Powiat najbardziej ucierpiał w czasie działań wojennych, jest jeszcze częściowo zaminowany i mimo że ma doskonałą glebę, jest najslabiej zaludniony. Gryzonie zjadły zbior; ludności zabraknie ziarna do siewu i grozi jej głód. Nakazuje się szybkie omoty, okopywanie stert i różne sposoby zwalczania tej plagi. Osadnicy z obawą patrzą w niedaleką przyszłość.

Szuka się środków zaradczych w postaci specjalnych szczepionek w laboratoriach i zakładach naukowych w Polsce i za granicą. Tymczasem myszy i szczury coraz głośniejszą czynnością nacierają na większe osiedla i miasta. Niestety, wciąż jeszcze niewiele można zrobić, by generalnie zaradzić zhu. Los, któremu uległ legendarny Popiel, winien być groźnym ostrzeżeniem dla Ministerstwa Rolnictwa.

O PRZYSZŁOŚĆ GOSPODARCZĄ ZIEMI MAZURSKIEJ

Na odbudowę woj. olsztyńskiego, a w związku z tym wzmocnienie akcji osadniczej zwiększone zostały ostatnio kredyty Ministerstwa Odbudowy. Przeznaczona na II półrocze br. kwota 55 milionów zł. jest już w naszych warunkach — sumą okazałą.

Wzrasta dopływ materiałów przemysłowych, a szczególnie budowlanych. Wzrasta też produkcja miejscowych cegieł, dachówczarni, łaków, fabryk narzędzi rolniczych. Liczba osadników (przesiedleńców i repatriantów) systematycznie wzrasta, coraz dłuższe i szersze są pola uprawne wokół osiedlonych zagród, wzrasta pogłowie inwentarza. Wzrasta liczba rodzin rybackich, połowy wykazują coraz lepsze rezultaty; ostatnio założono kilka dużych wylęgarni ryby śródlądowej. Gospodarka leśna i przemysł drzewny są dziedzinami jeszcze nieco opóźnionymi.

Na teren województwa olsztyńskiego zwrócona została baczniejsza uwaga najwyższych czynników państwa. Ostatnio była w Olsztynie komisja złożona z przedstawicieli Ministerstw: Ziem Odzyskanych, Aprowizacji i Handlu, Przemysłu i Centralnych Zarządów przemysłowych. Celem jej było zbadanie możliwości wzmocnienia rozwoju przemysłowego Mazurów. Baczniejszą uwagę zwrócono na przemysł drzewny oraz na rybactwo i przemysł z nim związany. Te dziedziny gospodarcze mają w tej chwili najlepsze możliwości i perspektywę rozwojową.

Równoległe z akcją rozwoju przemysłu i miast idzie akcja pomocy odbudowy i osadnictwa rolnego w ramach polityki M. Z. O. — jako dwie wzajemnie się uzupełniające dziedziny, zmierzające do jednego celu: zagospodarowania i spolszczenia tych ziem.

UWAGI KOŃCOWE

Mijamy w drodze powrotnej Nidzicę (Nidzica). Widać jeszcze nadłuczzone szczyty mówiące, że tutaj do niedawna kupcami byli: Marchlewitsch, Joswig. Może zostali tu jeszcze ich synowie lub wnukowie. Wierzymy, że po przejściowym okresie zachwiania, potomkowie ci będą dzielnymi polskimi Marchlewiczami i Józwickami.

Zwalony budynek dawnego niemieckiego urzędu celnego i dawna granica. Już ona nigdy tędy przebiegać nie będzie i ten budynek dla celów poprzednich nie zostanie odbudowany. Niemczyzna została odepchnięta bezapelacyjnie daleko na Zachód.

Znow ukazały się bielone ściany i słomiane strzechy. Wzdłuż szosy na Mławę widzimy dużo zagród, które swym wyglądem świadczą, że u ich właścicieli przednówki są długie i ciężkie. I świadczą o tym, że trzeba podważyć nieco uświęcone pojęcie o mocy przywiązania naszego chłopca do odziedziczonego zagona.

Mazurskie ma przyszłość przed sobą i czeka na ludzi uczciwej pracy.

Książki nadesłane do Redakcji

Wydawnictwa spółdzielni wydawniczej „Książka” 1946 r.

Balzac: Stracone złudzenia, str. 374.
— Blaski i nędze życia kurtyzany, str. 334.
Kochanowski: Wybór Poezji, str. 172.
Prus: Faraon t. II/III, str. 317, 270.
Rudnicki: Józefów, str. 16.
Bogucki: Mały kodeks karny, str. 129.
Plechawski: O materialistycznym pojmowaniu dziejów, str. 53.
Dembowski: Psychologia małp, str. 270.
Aldridge: Orzeł morsk, str. 272.
Aragon: Niewola i wielkość Francji, str. 162.
Schabowski: Szarotki, str. 28.
Klimczak: Od Okł do Szprawy, str. 228.

OD ADMINISTRACJI

Administracja tygodnika „Wieś” przypomina o wpłacie zaległej prenumeraty

Nr. Konta P.K.O. Łódź VII—1080

Prenumerata „Wiś” wynosi zł 25 miesięcznie, zł 75 kwartalnie i zł 150 półrocznie.

Redaktor naczelny: Jan Aleksander Król.
Komitet redakcyjny: Kaczyński Zygmunt, Morton Józef, Ozga Michał, Józef, Pietak Stanisław.
Komitet terenowy: Frasiak Józef, Andrzej, Nędra Kubiniec Stanisław.

Adres redakcji: Łódź, Piotrkowska 96, tel. 100-98.

Redakcja rękopisów nie zwraca.
Wydawca: Zarząd Główny Zw. Samopom. Chłopskiej.

Ceny ogłoszeń: kolumna zł. 60.000, 1/2 kolumny zł. 30.000, 1/4 kolumny zł. 15.000, 1/8 kolumny zł. 8.000, 1/16 kolumny zł. 5.000. Ogłoszenia przyjmuje redakcja tyg. „Wieś”, Łódź, Piotrkowska 96, I p. tel. 100-98

Drukarnia Nr. 4 Sp. Wyd. „Czytelnik” — Łódź ul. Żwirki 2 D—011414